Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT • NR 16 (1856) • 17–23 kwietnia 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Ciszej nad tą TiSzą

str. 5

ORBÁN, MAGYAR DWA BRATANKI

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 8f0a9fc9f0

Za tydzień podwójny numer tygodnika „NIE” za podwójną cenę dający 20 razy więcej radości.

WOJNA DOMOWA

Węgierskie wybory wygrała opozycja, co w Polsce u jednych wzbudziło nieco dziecięcą radość – a u tych drugich równie dojrzałą dezaprobatę. Jarosław Kaczyński ogłosił, że nowy węgierski premier Péter Magyar powinien być „natychmiast wyeliminowany z życia publicznego”, albowiem „upiekł szczenię”, co „opisuje jego żona”. Książka żony, na którą prezes się powołał, nie istnieje. To fejk, który przez chwilę był bardzo popularny w necie – dokładnie jak opowieść o imigrantach z Haiti, którzy jedzą koty i psy mieszkańców Springfield w stanie Ohio, przywołana przez Donalda Trumpa w debacie prezydenckiej z Kamalą Harris. Przynajmniej z wystąpienia Trumpa powstał uroczy reggae’owy utwór wokalisty o pseudonimie The Kiffness: „Ludzie ze Springfield, proszę: nie jedzcie mojego kota. Dlaczego chcecie to robić? Oto katalog innych rzeczy, które możecie jeść”… Do opowieści o upieczonym szczeniaku nawet się nie pogibamy.

Zwycięstwo Magyara może nie zagrażać losowi szczeniąt na Węgrzech, ale dość prawdopodobne, że zagrozi Zbigniewowi Ziobrze i Marcinowi Romanowskiemu, którym przyszły węgierski premier poradził nie kupować mebli w Ikei. W polskich elitach rządzących nastąpiła z tego powodu kolejna eksplozja radości najpiękniej ujęta przez naszego ulubionego posła Trelę: „Kończy się sielanka w Budapeszcie, czekamy na Ziobrę i Romanowskiego w polskim areszcie”. Pan poeta, pan poeta… Poetycznością wykazali się także autorzy wniosku o postawienie Ziobry przed Trybunałem Stanu, którzy wystąpili na konferencji prasowej. Każdy chciał się wyróżnić barwnością opisu ziobrowych podłości. Naszym zdaniem wygrał poseł Suchoń: „Każdy, który będzie dzisiaj bronił Zbigniewa Ziobro, będzie się musiał zmierzyć z potworną prawdą o naprawdę złych rzeczach, które Zbigniew Ziobro robił Polsce, które Zbigniew Ziobro zrobił Polkom i Polakom. Każdy będzie musiał sobie odpowiedzieć na jedno proste pytanie: czy jestem po stronie Polski, Polek i Polaków, czy stoję po stronie Zbigniewa Ziobro, który krzywdził nasze państwo. Wszyscy ci, którzy wierzą w Polskę, wszyscy ci, którzy chcą bronić Polek i Polaków przed takimi właśnie politykami, jakim był Zbigniew Ziobro, będą dzisiaj chcieli postawić go przed Trybunałem Stanu po to, żeby nigdy więcej żaden zły człowiek nie wyrządził tyle złego”. Wiemy, wiemy: Ziobro upiekł szczeniaka Polski w mikrofalówce. I zjadł.

Wieść się niesie, że Donald Tusk już naprawdę – ale to naprawdę – nie może znieść Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz. Podobno „na rządzie” odbył następujący dialog na jej temat z zastępującym ją zastępcą wiceministrem Karnowskim: – Gdzie jest Katarzyna? – W Rumunii. – I nie zamierza zostać? – Nie życzmy tego Rumunii… Na sali posiedzeń Rady Ministrów miał się w tym momencie rozlec rechot, acz reporterzy od przecieków nie przekazują, czy był usłużny, czy szczery. W każdym razie nie znamionował poszanowania dla koalicjanta. Z drugiej strony Polska 2050 złożyła właśnie – bez akceptacji Ministerstwa Finansów – projekt poselski podnoszący drugi próg podatkowy ze 120 do 140 tys. rocznie. „Obniżka podatków dla klasy średniej jest kluczem do przywrócenia jej bezpieczeństwa codziennego życia” – orzekł wiceminister funduszy Jan Szyszko będący twarzą projektu. Tak nam się zdaje, że ci, którzy zarabiają powyżej 10 kafli miesięcznie, nie są w tej chwili w Polsce w szczególnym niebezpieczeństwie. W odróżnieniu, na przykład, od bezrobotnych, których liczba rośnie nieustająco od dziewięciu miesięcy.

Marszałek Czarzasty pogadał z „Financial Times” i to całkiem do rzeczy. Powiedział, że Trump jest irracjonalnym liderem chaosu, a politycy europejscy nie mają jaj, żeby mu to powiedzieć. Czarzasty zauważył też trafnie, że administracja amerykańska w osobie J.D. Vance’a wpierdalała się w wybory na Węgrzech, co stanowi ingerencję w demokratyczne procesy innego państwa. „Ten człowiek stanowi zagrożenie. Celem jego jątrzącej retoryki, mającej na celu dyskredytowanie prezydenta USA, może być jedynie zaszkodzenie stosunkom amerykańsko-polskim oraz osłabienie własnego kraju. Być może, biorąc pod uwagę, że jest on znanym skrajnie lewicowym, byłym komunistycznym aparatczykiem, nie powinniśmy się temu dziwić” – zakrzyknął na X ambasador Rose z niezawodnym refleksem nożyc. Nie wiemy jak Państwo, ale my sobie myślimy, że dokładnie o to Włodziowi chodziło. Jak już całkiem nie będzie na kogo głosować – to niejeden lewak zagłosuje na partię faceta, któremu udało się wychynąć z amerykańskiej dupy. *Good job!*

Atmosfera w trójkącie Kaczyński–Morawiecki–Czarnek robi się napięta, jak to przeważnie bywa w trójkątach. Były premier zakłada stowarzyszenie „Powered by Poland” – co można luźno przetłumaczyć jako „Napędzane Polską”, ale wprost przetłumaczyć się nie da, co samo w sobie nie jest dobrym pomysłem w partii adresowanej do ludu prostego, a nie wielkomiejskich elit. Najnowsza wiadomość jest taka, że na Nowogrodzkiej odbyła się narada, z której Morawiecki musiał w pewnym momencie wyjść – a po jego wyjściu prezes poinformował swój dwór, że jak ktoś się zapisze do stowarzyszenia Mateusza, to nie dostanie miejsca na liście. Co raczej podcina skrzydła projektowi, bo przecież nie po to się działa w polityce, żeby nie zostać posłem, względnie sanatorem, a najlepiej europosłem. Aktualny faworyt prezesa, zwany przez niego „profesorem Czarnkiem”, jest wobec powyższego w świetnym nastroju. Zapytany przez media, „jak podoba mu się nowy premier Węgier”, odparł błyskotliwie: „Ja gustuję w kobietach”. Wykształcony, a do tego dowcipny.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Kwiecień 2014 r.

Świętego Paterna i Passover

Dawid Wildstein, syn starego Wildsteina, alarmuje, że Niemcy kolonizują Polskę. Wildsteiny niemieckie alarmują, że Polacy kolonizują Niemcy. To dobre sygnały. Politycy się spierają, a ludzie sami jednoczą Europę. Wildsteinowie wywodzą się z Małej Azji.

Świętej Benoit-Jozef

Flagowy liberał „Gazety Wyborczej” Witold Gadomski 11 kwietnia zachęcał do zawieszenia broni w sprawach ideologicznych i dania spokoju Kościołowi. Ważny jest, jak twierdzi, postęp gospodarczy i społeczny, który automatycznie pociąga za sobą modernizację mentalności. I woła o więcej dzieci, bo one zarobią na emerytów, jeśli baby będą częściej rodzić, a mniej genderować.

Istotnie, w XX w. kobiety podejmowały prymitywną pracę zawodową głównie dzięki wojnom i przymusowi ekonomicznemu. Współcześnie chodzi o równoprawność dla poprawy sensu życia połowy ludzkości. Czyż samce mają żyć dla życia, a samice dla zachowania gatunku? Biologicznie kobieta różni się od mężczyzny, ale w swej roli społecznej nie. Idee wyprzedzające postęp gospodarczy i społeczny są jego siłą napędową. Dolina Krzemowa nie mogła powstać na Wzgórzu Watykańskim. Religie i kościoły są opozycją wobec postępu wszelkiego rodzaju.

Kobiety robiące kariery istotnie mniej rodzą. Wzrost płac zmniejsza ekonomiczny przymus pracy żon. Wymaga uczynienia powszechnym ideowych bodźców i zawodowych aspiracji połowy ludzkości za cenę spadku urodzeń. Kobiety, pracując, zarobią na emerytury następców. Fałszywy jest dogmat, że więcej dzieci to większy przyszły dobrobyt. Produkcja się automatyzuje, obrót podlega cyfryzacji. Zamożność będzie tym większa, na im mniej głów dzielić się będzie dochód narodowy. Społeczeństwem bogatym może być tylko społeczność liczebnie ekskluzywna. Wojna o antykoncepcję, skrobanki, gender itp. stanowi więc motor cywilizacji i dobrobytu. Wojna obyczajowa i ideologiczna nie jest otóż zbędna.

Świętego Aniceta

Umarły właśnie Márquez tym dla mnie różnił się od powieściopisarza Wildsteina, że czytałem książki nieboszczyka i osobiście go poznałem. W latach 90. szyto mi koszule na miarę w małym ekskluzywnym zakładzie w Paryżu. Gdy Daniszewska zaprowadziła mnie do przymierzalni, na biurku szefowej leżały dwie teczki: Monsieur J. Urban i Monsieur G.G. Márquez. – Ten Márquez? – Ten. Jest tu teraz. Po chwili z czeluści wyszedł Márquez w pidżamie, żeby poddać ją ocenie szefowej. Za nim jego żona. Jako dżentelmen powiem, że pani oszałamiającej urody. Z twarzy i kibici przypominała zagłodzoną klacz, taką, których zdjęcia publikuje w Polsce gazeta, żeby wzbudzić litość i wykupić zwierzę od losu pokarmu dla drapieżników w zoo. Daniszewska zaraz zagadała literata, że jesteśmy z Polski, gdzie ludność zajęta jest wyłącznie czytaniem jego książek. Udał, że go to ciekawi. Wyszliśmy i razem szliśmy ulicą, a Daniszewska w bezczelności swej sprawdzonej zaprosiła Márquezów na lunch „do nas do Ritza”. Pod morderczym spojrzeniem klaczy Gabriel García wymówił się grzecznie, ale dał Daniszewskiej wizytówkę z telefonem i pocałował ją w oba policzki.

Cd. świętego Aniceta

Nikt ze spierających się od lat o kwestię sześciolatków mających iść do szkoły nie zauważył jednego. Sześcioletnie dzieci głośnych obrońców przed posłaniem ich do szkoły mają już po osiem lat.

Cd. świętego Aniceta

Azorka odwiedziła jego przyjaciółka Lola, suczka rasy koktajl. Przez godzinę Azor z nią biegał, szczekał, bawił się i skakał. Gdy odeszła, poszedł do swojego kojca i przez pół godziny robił sobie językiem minetę. Onanizował się, marząc zapewne o Loli. Potem zaś przez 14 godzin spał, odpoczywał. I taka jest, proszę feministek, kondycja samców, których chcecie pokonać.

Drugi dzień Passoveru

Na cześć zmartwychwstania Chrystusa kury ogłosiły wyścig pracy w znoszeniu jaj. Polska jest mocarstwem jajcarstwa.

Świętego Ramo

Po kilka godzin dziennie melomani musieli patrzeć na ten plakat w formacie XXXL rozwieszony nad muzykami w Filharmonii Narodowej. Przedstawia on mordę kompozytora Beethovena wykonaną w stylu Sturm und Drang w romantyzmie. Nad tym dziecięca korona, czerwona obwódka fryzury i tytuł imprezy napisany w uczniowskim zeszycie. Całość wprasowana w niemiecką ceratę z kuchennego stołu typową dla pierwszej połowy XX w. Pani Elżbieta Penderecka, dyrektorka festiwalu, może ma gust w uszach, ale oczy należy jej wydłubać.

Świętego Parafita

Atakowany o to, że jego córka ma bezprawnie ochronę BOR, premier kręcił: ma i nie ma. Przy tym czytał wyzwiska i pogróżki, jakie Tuskówna, bodaj zajmująca się modą, dostaje od miłośników PiS. Spieszę Tuskowi z pomocą. Za prezydentury Busha juniora Daniszewskiej złożyła w Konstancinie towarzyską wizytę córka wiceprezydenta USA Cheneya. Chciała zobaczyć, jakiej pomocy amerykańskiej potrzebują proste polskie kobiety. Wpierw Secret Service zbadał dom, garaże, basen, pomieszczenia dla służby, obejrzał naszych ochroniarzy. A potem wiceprezydentównie towarzyszyło osiemnastu goryli. Liczyła ich moja ochrona. Rozstawili posterunki w ogrodzie wokół domu. Przy tym to nie była jedyna córka tego wała Cheneya i gdyby ją zabili, mógłby nawet nie zauważyć ubytku. Wielu republikańskich polityków nie potrafi liczyć do tylu, ile mają dzieci.

Świętej Emmy

W cieniu negocjacji abepe Hosera z jasienickim aktywem parafialnym odbyły się jednocześnie rozmowy trzech mocarstw i Ukrainy w sprawie tej ostatniej. Obie imprezy zapewniły pewne uspokojenie, ale bez ostatecznych rozwiązań, zatem na krótko.

Po długotrwałych rozważaniach Watykan nakaże to, co z góry można przewidzieć: przeniesienie Lemańskiego pod innego biskupa i danie mu probostwa w parafii tak biednej, że będzie żarł (tu powołam się na posła Niesiołowskiego) mirabelki i szczaw. Ks. Lemański to broń jądrowa, której nieprawicowe media używają do bombardowania biskupów. Obsrywają one Kościół z pełnym obłudy szacunkiem podszytym niechęcią. W tej sytuacji sztandarowy dla mediów Lemański nie może wygrać, ale też sprawę trzeba wyciszyć. Tak jak i boromeuszki nie mogą iść do pierdla. Były takimi samymi sadystkami jak wszystkie zakonnice prowadzące zakłady wychowawcze, od dziesiątków lat piętnowane w filmach i książkach. Gdyby podłe boromeuszki nie miały rozgłosu, to po cichu Kościół pozwoliłby sądom zamknąć je za kratami.

Ósmy dzień Passoveru

Wzniecenie w Polsce antyrosyjskiej i wojennej histerii trwało miesiąc. Dla jej ukojenia potrzeba będzie 10 lat. Sikorski zabiega o osadzenie u nas dwóch brygad NATO. Miałoby to znaczenie obronne tylko wtedy, gdyby Rosja, podejmując agresję na Polskę, była tak głupia, żeby zabijać akurat Amerykanów. Bo nasi politycy wierzą, że Putinowi marzy się III wojna, którą musi przegrać. Powtarzam: gdyby Rosja, szukając kłopotów z Polakami, zajęła Polskę, to Obama spowoduje, że Japonia zajmie Wyspy Kurylskie i będziemy kwita.

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Przemysław Czarnek** zauważył, że sztuczna inteligencja nie zastąpi serów. Nie to co Czarnek, z serkiem spod pały.
- Portal **fronda.pl** zastanawia się, czy Trump został antychrystem. A taki kwietny miał wianek...
- **Młodzież Wszechpolska** poszła do synagogi modlić się o nawrócenie Żydów. Tradycyjnie nawrócenie odbywa się za pomocą noży i pochodni.
- **Barbara Nowak** powiedziała, że program edukacji zdrowotnej jest zaplanowanym samobójstwem narodu polskiego. Szczególnie ta resuscytacja to zboczenie.
- **Marcin Romanowski** zapowiedział, że nie zdradzi swojego adresu. Misiu, minister Żurek już cię ma w ulubionych na lokalizacji.
- **Policja** zatrzymała wyłudzającego pieniądze księcia z Dubaju. Ten to by szybko załatwił sprawę z cieśniną Ormuz.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Imperium dobra kontratakuje

Temat Imperium Zła i (...) Donalda Trumpa zaczyna być nużący, a przez to (...) kontrproduktywny. (...) W dłuższej perspektywie czasowej może prowadzić do zobojętnienia na ten temat. W tej sytuacji oczekiwałbym znalezienia jakiegoś Imperium Dobra i dogłębnej analizy źródeł jego dobroci. (...) Przy czym nie może być to żaden z krajów skandynawskich. Bo to żadne imperia. To musi być prawdziwe imperium. Jestem pewny, że poszerzyłoby to grono czytelników tygodnika.

Czytelnik

Po co? Na co?

Misja Artemis II wylądowała na Ziemi, lot „na Księżyc” udał się jak cholera... Tylko po co to było? W latach 60. (...) załogowe loty wokół Księżyca realizowały misje Apollo 8 i 10, nie licząc tych, które potem tam lądowały. Powtórzenie tego samego po 50 latach, i to przy użyciu niemal identycznej technologii, zakrawa na jakiś żart. Misje Apollo, w istocie, nie przyniosły żadnego nowego naukowego odkrycia poza wynalezieniem teflonu użytego później do pokrycia patelni. Były one podyktowane potrzebą polityczną (...). Tak samo jest i teraz, najpierw fetowano, że to „lot na Księżyc”, potem okazało się to tylko wokół (...). Czemu albo komu miało to służyć? Bo mapę niewidocznej strony Księżyca można kupić w każdej księgarni (...).

Jerzy Dryzek

Cięcia budżetowe

Czy zaniechania prezydenta (nominacje, ślubowania), „uzasadniane” przez klikę w Pałacu, nie stanowiłyby uzasadnionej przesłanki do nowelizacji budżetu? Skoro nie pracują, jak powinni, lecz głównie intrygują i mieszają w szambie, obcięcie budżetu o 50 proc. byłoby na miejscu.

Czytelnik

eprasa.pl 8f0a9fc9f0

Kneset kazał wieszać

Apartheid wprowadzony ustawą

55 lat temu, 17 kwietnia 1971 r., doszło do pierwszej wymiany więźniów między Fatah i Izraelem: bojownik Fatah Mahmoud Bakr Hijazi po sześciu latach niewoli opuścił izraelskie więzienie. Trzy lata później Palestyńska Rada Narodowa uznała 17 kwietnia za Dzień Więźnia Palestyńskiego. Dziś, kiedy wspominamy dziesiątki tysięcy Palestyńczyków, którzy przeszli przez izraelskie więzienia – tych, którzy wrócili do domów, i tych, którzy wciąż czekają na wolność za wysokimi murami – upamiętnienie to ma szczególną wagę. 30 marca 2026 r. izraelski parlament przyjął ustawę wprowadzającą karę śmierci dla palestyńskich więźniów. To wyrok wiszący nad tysiącami istnień.

Nie sposób zrozumieć skali tej groźby bez kilku liczb. W izraelskich więzieniach przebywa obecnie ponad 9600 Palestyńczyków – w tym 84 kobiety i około 350 dzieci. Ponad 3500 osób przetrzymywanych jest w areszcie administracyjnym bez postawienia zarzutów i bez procesu. Ponad 1200 sklasyfikowano jako nielegalnych bojowników. Za każdą z tych suchych statystyk stoją konkretni ludzie – ojcowie, matki, bracia, siostry. I to właśnie ich, w symbolicznym dniu walki o wolność więźniów, izraelski parlament skazuje na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Ustawa, której nadano propagandową nazwę „Ustawa o karze śmierci dla terrorystów”, została przeforsowana przez skrajnie prawicową partię Żydowska Siła Itamara Ben Gwira oraz posła Nissima Vatoriego z Likudu. Poparło ją 62 posłów, 48 było przeciw, jeden się wstrzymał. Jej zapisy nie pozostawiają złudzeń: każdy Palestyńczyk z Zachodniego Brzegu lub Strefy Gazy, który zostanie uznany za odpowiedzialnego za śmierć obywatela Izraela, ma być sądzony przez sąd wojskowy i skazany na śmierć przez powieszenie. Wyrok musi zostać wykonany w ciągu 90 dni. Dowódca wojskowy nie ma prawa go ułaskawić ani złagodzić.

Żydom, którzy zabijają Palestyńczyków, szubienica nie grozi. Prawo działa tylko w jedną stronę. W ten sposób izraelski parlament oficjalnie zapisał w swoich przepisach, że życie Palestyńczyka jest warte mniej niż życie obywatela Izraela.

To już nie jest podejrzenie o apartheid – to jego legislacyjne wcielenie.

Na szczęście w tym przypadku międzynarodowa reakcja była szybka i stanowcza. Protest wyraziły Niemcy, Francja, Włochy i Wielka Brytania. Osiem państw islamskich – Jordania, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Indonezja, Pakistan, Turcja, Arabia Saudyjska, Katar i Egipt – potępiło ustawę jako niebezpieczną eskalację. W samym Izraelu poseł Ofer Kasif z lewicowej partii Hadasz nazwał ją „legalizacją ludobójstwa”.

I właśnie w tym miejscu warto głośno powiedzieć: Polska też nie pozostała obojętna. 1 kwietnia 2026 r. polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wydało oświadczenie, w którym nazwało nowe izraelskie prawo całkowicie niedopuszczalnym. Warszawa podkreśliła, że w demokratycznym państwie nie można stosować kary dyskryminującej ze względu na narodowość. Polski MSZ zaapelował o utrzymanie moratorium na karę śmierci, argumentując to „szczególną wrażliwością historyczną” – nawiązaniem do bolesnych doświadczeń Polski pod okupacją. Głos zabrał także Marcin Przydacz z Kancelarii Prezydenta, mówiąc w Radiu Zet, że wymiar sprawiedliwości powinien oceniać czyny, a nie tożsamość, i że kryterium narodowości jest dla niego absolutnie nie do zaakceptowania.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

17 kwietnia tego roku prawnicy i organizacje praw człowieka złożą do Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze kolejne dokumenty dotyczące więźniów, przechowywanych ciał, prawa o karze śmierci, gwałtów, morderstw, aresztowań, przemocy fizycznej i psychicznej, izolacji, zaniedbań medycznych, zaginięć, aktów ludobójstwa, do których dochodzi w izraelskich więzieniach i bazach wojskowych. 18 kwietnia w Brukseli odbędzie się konferencja „Sprawiedliwość dla palestyńskich więźniów” z udziałem palestyńskich prawników i byłych palestyńskich więźniów, poświęcona m.in. pytaniu, czy europejskie milczenie na temat tego, co dzieje się w Gazie, stanowi współudział w zbrodni.

OMAR FARIS

W Polsce kolorowi nie mogą być nawet bezdomnymi

Praw człowieka nie stwierdza się

Odkąd Tusk zawiesił prawo do azylu, osobom, które uciekły do Polski, przekraczając granicę z Białorusią, odmawia się rejestracji wniosków o ochronę międzynarodową. Umieszcza się je w detencji i wręcza decyzje deportacyjne bądź zalecenie dobrowolnego wyjazdu. Od roku żadna z takich osób nie otrzymała nawet prawa do pobytu tolerowanego.

Jednym z fundamentów prawa międzynarodowego chroniącego osoby prześladowane jest zasada *non-refoulment*. Reguła została zapisana w Konwencji Genewskiej dotyczącej statusu uchodźców, Konwencji przeciw torturom i Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Mówi o tym, że nawet jeśli wniosek o azyl zostanie odrzucony, państwo musi sprawdzić, czy odesłanie delikwenta nie narazi go na realne niebezpieczeństwo. Zasada dotyczy nie tylko deportacji, ale też odstawienia na granicę (słynnych push-backów) czy zalecenia dobrowolnego wyjazdu. Jeśli organy państwowe stwierdzą, że migrantowi w kraju pochodzenia grozi nieludzkie traktowanie lub śmierć, muszą go otoczyć inną formą ochrony.

Do czerwca zeszłego roku istniała lista państw, do których nie deportowano osób zatrzymanych w Polsce za nielegalny pobyt ani nie realizowano zobowiązań do powrotu, nawet jeśli takie zostały wydane. Na liście było siedem państw: Wenezuela, Syria, Somalia, Jemen, Etiopia, Erytrea i Afganistan. Na początku kwietnia obywatele jednego z nich przekonali się na własnej skórze, że Polska wszystkie konwencje ma w pompie.

Głodnych wyjebać

7 kwietnia do reprezentującego partię rządzącą prezydenta Zielonej Góry Marcina Pabierowskiego skierowano dramatycznie brzmiące pismo dotyczące pobytu nielegalnych migrantów w miejskiej noclegowni dla osób bezdomnych przy ul. Bema 38. Z prośbą o interwencję zwrócił się kierownik placówki Janusz Sulczewski.

Z treści glejtu wynikało, że 23 marca 2026 r. do noclegowni za sprawą Fundacji Miejsce na Ziemi miało trafić trzech młodych mężczyzn, obywateli Erytrei. Zgodnie z dotychczasową praktyką współpracy z Miejskim Ośrodkiem Pomocy Społecznej zostali oni przyjęci w trybie interwencyjnym. Zanim przybysze trafili do Zielonej Góry, przez pół roku przebywali w zamkniętym ośrodku dla cudzoziemców w okolicach Warszawy. W tym czasie służby wnikliwie sprawdzały, czy zatrzymani nie zagrożą polactwu.

Po opuszczeniu detencyjnego turnusu zostali zobowiązani do meldowania się w placówce straży granicznej co dwa tygodnie. Wystawieni na ulicę bez grosza przy dupie i perspektyw, próbowali dostać się do Niemiec. Gówno z tego wyszło. Z uwagi na kontrole graniczne i przepisy o bezpiecznym kraju wjazdu zostali wyhaltowani i trafili do stolicy województwa. Jako że w nocy temperatura spadała znacznie poniżej zera, fundacja odstawiła nieszczęśników w bezpieczne miejsce. Po niespełna dwóch tygodniach obcy kulturowo fant zaczął uwierać Sulczewskiego. Choć goście nie sprawiali żadnych problemów, w liście do prezydenta miasta Sulczewski zaznaczył, że po analizie sytuacji pojawiły się obawy o bezpieczeństwo pracowników i rezydentów placówki.

W dokumencie zaznaczono, że straż graniczna oraz ambasada Erytrei w Berlinie nie potwierdziły danych nowych mieszkańców placówki. „Czasami miłosierdzie nie idzie w parze z rozsądkiem” – skwitował sprawę zastępca prezydenta Zielonej Góry Marek Kamiński. Kukułcze jaja w liczbie sztuk trzech spakowano do pociągu i w asyście funkcjonariuszy straży granicznej odesłano do Warszawy. Za bilety zapłacił Caritas.

Dlaczego padło na stolicę? Kiedy cudzoziemcy opuszczają ośrodki strzeżone, muszą wskazać adres, pod jakim będą przebywać. Zwykle jest to przypadkowy hostel albo inna meta – pro forma, bo gołodupcy zwykle miejscówki nie mają. Erytrejczycy z zielonogórskiej noclegowni trafili na stołeczną ulicę. Wpadli w pułapkę systemową, którą zastawiło państwo polskie, a wykorzystali lokalni politycy.

Zbrodnia i kara

Nie bez powodu Erytrea była wymieniona na liście państw, do których odesłanie nielegalsów godziło w ludzką przyzwoitość. To państwo w Afryce Wschodniej, położone nad Morzem Czerwonym. Siły zbrojne Erytrei to jedna z największych i najbardziej zmilitaryzowanych armii w Afryce Subsaharyjskiej, licząca blisko 300 tys. żołnierzy.

Jest to jeden z najbardziej restrykcyjnych i nieludzkich systemów przymusowej służby na świecie. Obejmuje wszystkich zdolnych do niej obywateli – kobiety i mężczyzn. Oficjalnie trwa 18 miesięcy, w praktyce wielu Erytrejczyków służy latami, a nawet dekadami. W kamasze trafiają już 16-latkowie – niekiedy za sprawą łapanek. Po szkoleniu w obozie wojskowym delikwenci są przydzielani albo do armii, albo do pracy cywilnej na rzecz państwa. To w zasadzie eufemizm, bo liczne raporty organizacji broniących praw człowieka mówią o torturach, przemocy seksualnej i pracy przymusowej. Ucieczka przed służbą lub nielegalny wyjazd z kraju są traktowane jako przestępstwo. Karane są także rodziny dezerterów.

Strach przed wcieleniem do wojska to jeden z głównych powodów emigracji Erytrejczyków. Masowa ucieczka z kraju sprawiła, że 11 proc. jego populacji to uchodźcy. Ludzie, którzy zostali zatrzymani podczas próby spierdolenia przed poborem trafiają do podziemnych cel albo kontenerów na bliżej nieokreślony czas. Ten sam los może spotkać osoby, których wnioskiem o status uchodźcy podtarto sobie dupy i zostały zawrócone z powrotem do Erytrei. Czy w związku z powyższym oświadczenie o braku możliwości weryfikacji tożsamości trzech turystów z zielonogórskiej noclegowni przez ambasadę Erytrei można uznać za wiążącą? No właśnie…

Ambasada Erytrei w Berlinie niejako z automatu nie przyznaje się do uchodźców rodzimej produkcji. Celowo odmawia świadczenia usług konsularnych – wydania paszportu, potwierdzenia tożsamości etc. – osobom, które opuściły kraj nielegalnie, uniknęły służby czy mają status uchodźcy.

Ilustr. PAWEŁ FERENC



Papiery można uzyskać, podpisując deklarację skruchy i opłacając 2 proc. podatku diaspory (od dochodów za granicą). Czyli wyrażając pisemne przyznanie się do przestępstwa nawiania z kraju przed służbą wojskową.

Ambasada robi to na tyle regularnie, że sądy w Niemczech (m.in. Federalny Sąd Administracyjny) uznały, że żądanie takiej deklaracji jest dla uchodźców subiektywnie nieuzasadnione. Podpisanie jej oznaczałoby samooskarżenie się o przestępstwo i realne ryzyko prześladowań dla rodziny osobnika lub jego samego po ewentualnym powrocie. W praktyce oznacza to, że uchodźcy erytrejscy mają ogromne trudności z uzyskaniem jakichkolwiek oficjalnych dokumentów od własnego kraju. Za Odrą położono na to pałę. Niejako bezkarnie.

Ban na miłosierdzie

Kierownik zielonogórskiej przechowalni dla osób w kryzysie bezdomności wyłuszczył w piśmie do prezydenta miasta, że noclegownia „nie jest placówką dedykowaną do zajmowania się osobami nielegalnie przebywającymi na terenie Polski” i nie dysponuje procedurami pozwalającymi na obsługę tego rodzaju przypadków. Powołał się przy tym na art. 5a ustawy o pomocy społecznej, wskazując, że osoby nieobjęte tymi regulacjami nie powinny korzystać z obiektu. Artykuł precyzuje, że prawo do pomocy (posiłku, schronienia etc.) przysługuje ofiarom handlu ludźmi bądź obywatelom UE. Nie daje podstawy do przyjmowania do noclegowni migrantów o nieuregulowanej sytuacji prawnej.

Sulczewski wyraził obawę, czy aby kawałek kąta i micha paszy dla Erytrejczyków nie doprowadzą do kolejnych prób kierowania „podobnych osób” do placówki.

Co ciekawe, jeszcze w styczniu chwalił się w social mediach, że do końca 2025 r. noclegownia gościła 165 obcokrajowców z 34 krajów, w tym ośmiu z Erytrei. Skąd więc ten raban? Trudno powiedzieć, choć można się domyślić.

Zanim władze miasta zdążyły przetrawić sytuację, kampanię reklamową pisma Sulczewskiego rozkręcili przedstawiciele lokalnej Konfederacji i sprzyjający im klub radnych Zielona Razem, z Robertem Górskim (lekarzem pogotowia ratunkowego, o ironio) na czele. Tradycyjnie padły hasła o terroryzmie i bezpieczeństwie dzieci uczących się w szkołach sąsiadujących z noclegownią. Cała zaś sytuacja posłużyła do nakurwiania w polityczny bęben.

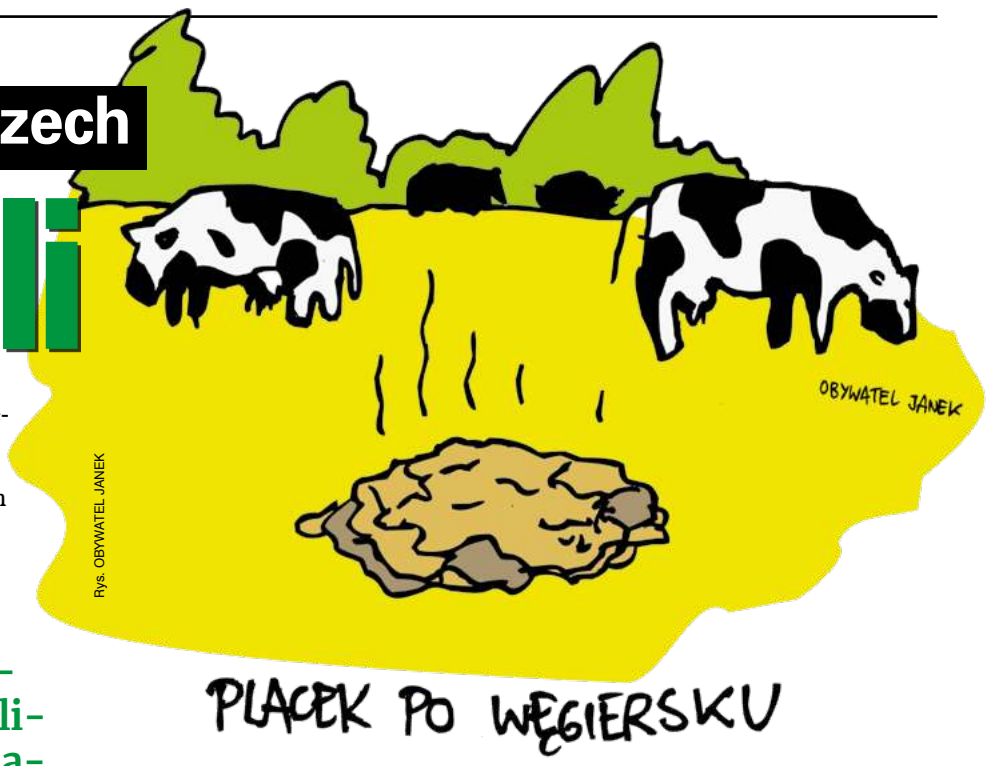
Erytrejczycy wpadli z deszczu pod rynnę. Gdyby istniał choć cień dowodu, że stanowią zagrożenie, nie zostaliby wypuszczeni przez służby z ośrodka strzeżonego; byliby deportowani. Są zbyt legalni na deportację i zbyt nielegalni na pomoc, bo nie obejmują ich uwalone przez rząd Tuska procedury azylowe. Wiceprezydent miasta Marek Kamiński zapewnia, że podobne sytuacje nie powinny się już powtórzyć. Z obawy o prawicowe oburzenie ciapaci bez pieczątek nie będą do noclegowni wpuszczani.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 8f0a9fc9f0

Głębsze przyczyny klęski władzy na Węgrzech

Dlaczego pogonili Orbána



Rys. OBYWATEL JANEK

Powiedzieć, że enfant terrible Unii Europejskiej Viktor Orbán dostał od opozycyjnej Partii Szacunku i Wolności (TiSza) Pétera Magyara wpierdol w wyborach, to nie powiedzieć nic. Po 16 latach przy korycie odspawano rządzących od żłobu tak boleśnie, że Magyar ma większość umożliwiającą zmianę konstytucji i odwrócenie wielu zmian w strukturze coraz bardziej autorytarnego państwa, które wprowadził Fidesz. A wszystkiemu temu towarzyszyła rekordowa frekwencja: 80 proc.

Otworzyć tokaj

Media liberalne w Polsce i w całej Europie doznały orgazmu bez seksu na wieści płynące znad Balatonu. Przy okazji utarto nosa trumpowskiej Ameryce, która mocno zaangażowała się w zmagania Orbána o piąte (!) z rzędu zwycięstwo wyborcze. Niektórzy sugerowali też, że czas otworzyć tokaj, bo na Węgrzech przegrał Putina lokaj.

Ze zwycięzcami wyborów Węgrzy łączą ogromne nadzieje – szczególnie młodzi ludzie, które całe dotychczasowe życie spędzili w cieniu demokratury. Madziar Magyar – zauważa trafnie pisarz Krzysztof Varga na łamach „Newsweeka" – „zabrał Orbánowi retorykę narodową – był i trybunem ludowym, i przywódcą powstania narodowo-wyzwoleńczego, człowiekiem, który wyzwala Węgry spod okupacji. Węgierskim Mesjaszem i jednocześnie gwiazdą popkultury. Facetem, który pójdzie pieszo przez cały kraj w pielgrzymce narodowej do Siedmiogrodu, ale też będzie bujał się na koncercie rapera Majki, wielkiej gwiazdy węgierskiego hip-hopu, przy okazji artysty, który wyśmiał węgierską kleptokrację i Orbána w swojej najsłynniejszej piosence".

Warto chwilę zastanowić się, czemu – wydawałoby się, niewzruszony – system władzy nad Dunajem został odrzucony przez większość ludności kraju. Tu trzeba porzucić wygodne i płytkie jak kałuża analizy medialne – że Orbán był złodziejem, zamordystą, ruską onucą walczącą z instytucjami unijnymi itd. itp. – i sięgnąć po właśnie wydaną po polsku książkę Gábora Scheiringa: „Odwrót demokracji liberalnej. Kapitalizm autorytarny i państwo akumulacyjne na przykładzie Węgier".

Napisany przed paru lat opasły tom węgierskiego uczonego (uzyskał stopnie naukowe z socjologii, ekonomii i antropologii społecznej) i polityka pokazuje w pogłębiony sposób system, jaki zakorzenił się na Węgrzech. Gwoli ścisłości, opowieść ta w pewnych punktach przypomina nasz kraj.

Autorytaryzm w służbie kapitału

Gniew społeczeństwa, który starł na proch szanse wyborcze Fideszu, cwany Orbán umiał wcześniej skanalizować w sposób dla siebie i swojej kliki nad wyraz użyteczny. Bo umiejętność zarządzania gniewem, który rodzi system kapitalistyczny (a po prawdzie i każdy inny), to w polityce zawsze zdolność niezwykle cenna i przynosząca ogromne profity polityczne – a także ekonomiczne.

Ostatnia dekada poprzedniego i pierwsza obecnego stulecia na Węgrzech przyniosły fundamentalne przemiany społeczne i ekonomiczne. Dotykały one zarówno klasy robotniczej, jak i burżuazji. Scheiring podkreśla, że w tym kraju rozwinęła się dualistyczna gospodarka, czy też może gospodarka dwóch prędkości. Z jednej strony pojawiła się w strukturze społecznej grupa podmiotów zorientowanych na eksport, konkurencyjnych i silnie powiązanych z kapitałem zagranicznym. Z drugiej strony utrwaliły się totalnie zmarginalizowane (regionalnie i zawodowo) grupy ludzi, którzy byli spychani coraz dalej na margines, bez szans na godne życie.

Skoro lewica zdradziła klasę robotniczą, wdrażając program oszczędności kosztem najbiedniejszych (dziwnie mi to przypomina SLD za Leszka Millera) – pojawił się nacjonalista Orbán, wskazujący nowych wrogów. Scheiring przeprowadził rozmowy z 82 pracownikami z dotkniętych dezindustrializacją czterech miast z węgierskiego pasa rdzy.

„Wobec braku wspólnej narracji klasowej oraz realnego narzędzia politycznego pozwalającego na zapanowanie nad własnym losem, nową narracją tożsamościową proletariatu, za pomocą której może wyrazić on swój gniew i oburzenie, stał się neonacjonalizm"

– konstatuje autor.

Tu warto wprowadzić węgierskie słowo *polgár*, odnoszące się zarówno do burżuazji (zamożnej klasy średniej), jak i mieszczanina/obywatela. O tym, jak ważne to pojęcie dla tamtejszej prawicy, niech świadczy fakt, że słowo to jest od ponad 30 lat częścią oficjalnej nazwy Fideszu.

Jak cynicznie wyjaśnił menedżer średniego szczebla z miasta Dunaújváros, pracujący w hucie stali: „Nieszczęsnych robotników określa się terminem »polgár« i w ten sposób się ich oszukuje, bo to przecież zwykli proletariusze. Nikt im tego nie mówi, ale są proletariatem. Wstydzą się tego, ale tak – są proletariatem. Muszą to przyznać. Pierwszym krokiem jest uświadomienie sobie, że nie stali się »polgár«, ale nadal należą do proletariatu. Mój szwagier jest »polgárem«. Ma piekarnię. Żyje jak »polgár«. Jego piekarz nie jest »polgárem«. Kelnerzy nie są »polgárami«. Tylko prolami. Mój szwagier płaci pracownikom tyle, że wystarcza im na jedzenie i opłacenie rachunków, na nic więcej".

Skoro w sferze materialnej jest marnie, to można manipulować sferą niematerialną, snuć opowieści o przedmurzu chrześcijaństwa, zgniliźnie moralnej gejowsko-feministycznego Zachodu, hordach dzikusów z Trzeciego Świata, którzy chcą zniszczyć ten mały dzielny naród.

Koniec nieliberalnej hegemonii?

Szekspir w dramacie „Romeo i Julia" umieścił znamienną uwagę: „Gwałtownych uciech i koniec gwałtowny". Przez 16 lat Orbán stworzył machinę państwową, podporządkowaną jemu samemu oraz jego zachłannej klice. Skala złodziejstwa była zatrważająca dla zwykłych ludzi, instytucje państwa służyły premierowi, media – wykupowane przez kumpli premiera – stały się tubą władzy.

Scheiring pisał tę książkę kilka lat temu. Podkreślał, że partie opozycyjne wobec Orbána powinny być gotowe do poprowadzenia Węgier z powrotem ku demokracji i włączającemu modelowi rozwoju społeczno-ekonomicznego. Pocieszał czytelników, przywołując słowa najsłynniejszego ekonomisty węgierskiego Karla Polanyiego: „Pełna rezygnacji akceptacja rzeczywistości społecznej daje człowiekowi niezachwianą odwagę i siłę do walki z dającą się usunąć niesprawiedliwością i niewolą".

W chwili obecnej nie sposób przewidzieć, czy Magyar podejmie skuteczną walkę z niesprawiedliwością i niewolą. Jeśli ma mu się to udać – musi zerwać z istniejącym modelem społecznego rozwoju (a może raczej niedorozwoju), a także z duszeniem płac robotniczych i nacjonalizmem na dopalaczach. Na początek może być mu trochę łatwiej, bo UE odblokuje parenaście miliardów euro, których Bruksela odmówiła Węgrom za łamanie praworządności, wszechobecną korupcję czy torpedowanie unijnej polityki migracyjnej.

TiSza wykorzystała sytuację, stała się wyborczo atrakcyjna nie tylko dla miejskich liberałów, ale dla szerokich mas społecznych, szczególnie zaś dla osób młodych, pozbawionych perspektyw i wkurwionych na zamordyzm. Czy Magyar występował jako reprezentant „wyklętego ludu ziemi"? Oczywiście nie.

Tak czy inaczej, Fidesz przegrał w grze, której reguły sam ustalał. Jak zaznacza Scheiring: „Autorytaryzm instytucjonalny ma na celu wyeliminowanie zorganizowanego sprzeciwu partii politycznych, związków zawodowych i organizacji pozarządowych, autorytarny populizm zaś przekieruje niezadowolenie i uwagę z kwestii redystrybucji na zagadnienia kulturowe i tożsamościowe: Fidesz wywołuje konflikty w obszarach, w których potrafi dominować".

Książka Scheiringa zaczyna się od cierpkiej uwagi, że jak dotąd ani kapitaliści rodzimi, ani międzynarodowi nie przeciwstawili się tendencjom autorytarnym władzy. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta: „Krajowi przedsiębiorcy mają się lepiej niż kiedykolwiek wcześniej, a kluczowymi filarami autorytarnego kapitalizmu na Węgrzech stały się duże międzynarodowe korporacje z sektora technologicznego, takie jak niemieckie koncerny motoryzacyjne. Praktyki autorytarne służą zwiększaniu majątku elit, autorytarny dyskurs populistyczny zaś sprawia, że redystrybucja zasobów płynących od najbiedniejszych do najbogatszych jest łatwiejsza do zaakceptowania przez społeczeństwo".

Jeżeli Magyar nie zapewni Madziarom redystrybucji zasobów w drugą stronę – odsunięcie Orbána od władzy będzie straconą szansą dla społeczeństwa.

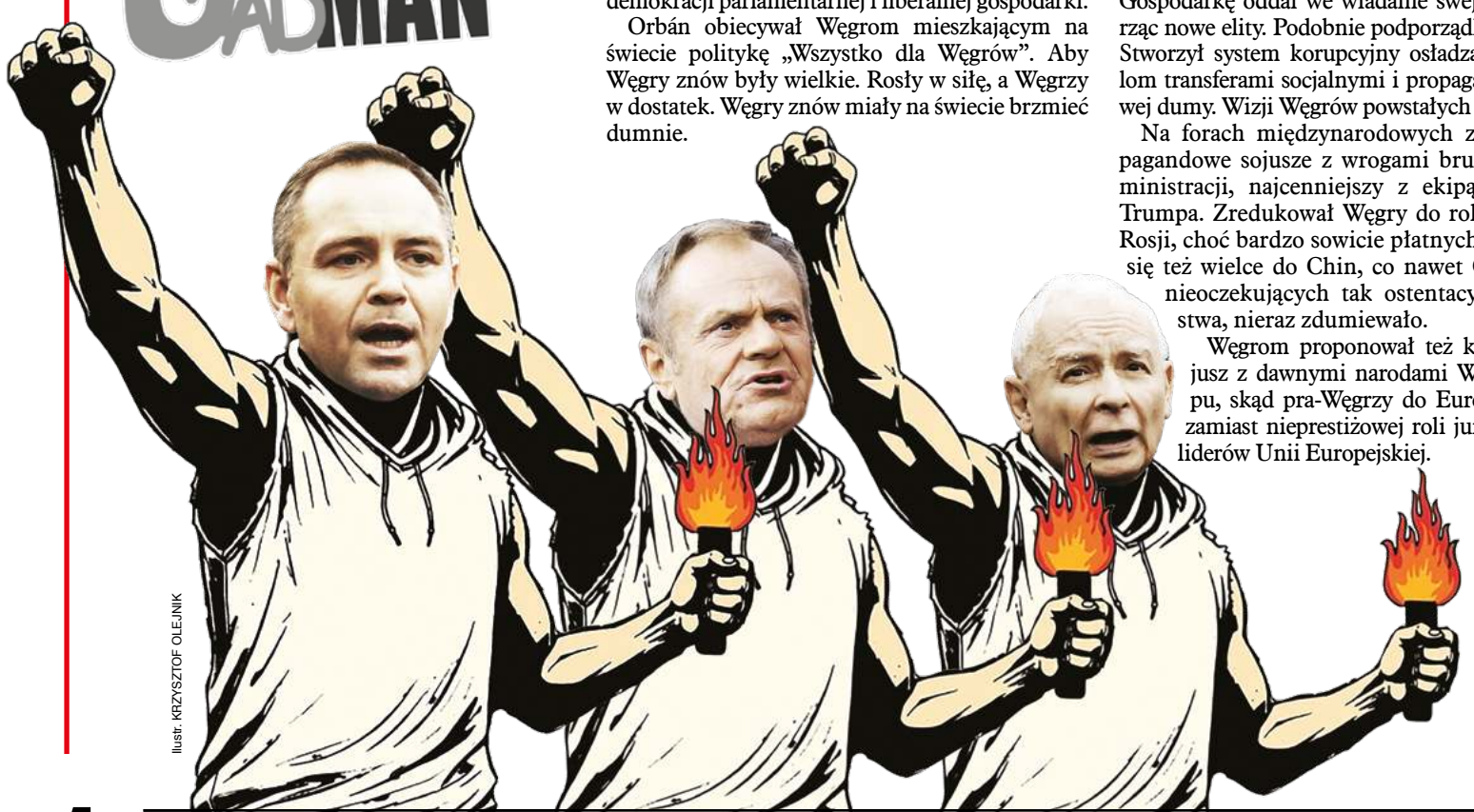
KATARZYNA KOENIG

Wybierzemy autorytarne rządy w imię obrony demokracji

Prezes, Król, Premier

GADMAN

Wybory przegrał nie dlatego, że paskudnym autokratą był. Wyborcy odrzucili go, bo okazał się nieskuteczny. Zamiast obiecanego dostatku Węgrzy odczuwali narastającą drożyznę i cywilizacyjną stagnację. Powszechny marazm.


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Klęska ekipy Orbána nie oznacza automatycznego ustanowienia na Węgrzech systemu zachodniej demokracji parlamentarnej i liberalnej gospodarki.

Orbán obiecywał Węgrom mieszkającym na świecie politykę „Wszystko dla Węgrów". Aby Węgry znów były wielkie. Rosły w siłę, a Węgrzy w dostatek. Węgry znów miały na świecie brzmieć dumnie.

Aby to osiągnąć, wprowadzał autorytarne rządy, marketingowo zwane demokracją nieliberalną. Gospodarkę oddał we władanie swej ekipie, tworząc nowe elity. Podobnie podporządkował media. Stworzył system korupcyjny osładzany obywatelom transferami socjalnymi i propagandą narodowej dumy. Wizji Węgrów powstałych z kolan.

Na forach międzynarodowych zawierał propagandowe sojusze z wrogami brukselskiej administracji, najcenniejszy z ekipą prezydenta Trumpa. Zredukował Węgry do roli pachołków Rosji, choć bardzo sowicie płatnych. Umizgiwał się też wielce do Chin, co nawet Chińczyków, nieoczekujących tak ostentacyjnego lokajstwa, nieraz zdumiewało.

Węgrom proponował też kulturowy sojusz z dawnymi narodami Wielkiego Stepu, skąd pra-Węgrzy do Europy przybyli, zamiast nieprestiżowej roli junior partnera liderów Unii Europejskiej.

Nawet sąsiednia lekceważona Rumunia, popularny wśród prowincjonalnych Węgrów synonim biedy, rozwijała się ostatnio szybciej. Co było na Węgrzech dotkliwie widoczne.

Teraz program „Wszystko dla Węgier" przejmuje nacjonalista Peter Magyar. Polityk młodszy, obiecujący pragmatyczny umiar w polityce międzynarodowej i przede wszystkim gospodarczą skuteczność.

Od demokracji

Nasza II Rzeczpospolita powstała jako klasyczna demokracja parlamentarna.

Wzorcowa i wtedy bardziej demokratyczna niż jej zachodnioeuropejskie siostry. Polskie kobiety od razu zyskały pełnię praw politycznych. Polscy obywatele spory pakiet praw pracowniczych, edukacyjnych, które na zachodzie Europy były tematem wieloletnich politycznych batalii.

To był efekt pierwszych rządów polskich socjalistów, którzy wpierw wywalczyli niepodległe państwo polskie. A potem zmusili do obywatel-

eprasa.pl 8f0a9fc9f0

Ciszej nad tą TiSzą

Nie ma się z czego cieszyć. Serio.

Wybory na Węgrzech wygrała TiSza. W parlamencie znalazły się tylko trzy ugrupowania: partia prawicowa, partia skrajnie prawicowa i partia prawie faszystowska. Jak to się stało?

Demokrata Orbán

Liczenie głosów jeszcze się nie zakończyło, kiedy Orbán przyznał się do porażki wyborczej Fideszu, gratulując Péterowi Magyarowi zwycięstwa. A przecież Fidesz jak zwykle miał ponad 2,3 mln wyborców. Tym razem okazało się, że to mało – i Orbán stracił nieograniczoną władzę 16 lat po obaleniu ustroju konstytucyjnego.

Sytuacja zapewne wyglądałaby inaczej, gdyby narastającemu niezadowoleniu społecznemu przewodził autentycznie demokratyczny pretendent. Tak, jak jest – Orbán może nawet udawać, że jest demokratą. System przetrwał swój własny upadek.

To, co zwykły obserwator postrzega jako zwycięstwo opozycji, jest w rzeczywistości ucieczką do przodu poprzedniej władzy. Nie była to porażka, lecz kapitulacja. Klęska Orbána nie była wymuszona; wynikała z wyboru. Nie oddał władzy dlatego, że nie mógł jej utrzymać, ale dlatego, że w tej formie zyskuje więcej. Pytanie nie brzmi, kto wygrał – ale kto skorzysta na wyniku.

Odpowiedź na to pytanie jest oczywista: Orbán. Przypomnijmy sobie rok 1997, kiedy AWS wygrała wybory i premierem został Jerzy Buzek – ale rządem kierował z tylnego siedzenia przewodniczący Solidarności Marian Krzaklewski. Gdyby system był zagrożony realną zmianą reżimu, a jego przywódcy odpowiedzialnością prawną – Orbán nie oddałby władzy tak łatwo.

Spójrzmy na sytuację trzeźwo. Orbán dysponował wszelkimi dostępnymi narzędziami, aby w razie potrzeby sfałszować wybory. Ale on tego nie zrobił; co więcej, pozwolił Magyarowi, który nigdy wcześniej nie negował ideologii Fideszu, swobodnie mówić i prowadzić kampanię. Wyraźnie starał się utrzymać Fidesz w całości i zdobyć pozycję legalnej opozycji.

Można było nawet odnieść wrażenie, że przywódca obozu rządzącego pozostawia wynik wyborów losowi – ponieważ dla niego była to sytuacja win-win. Po 16 latach rządów oddaje kraj wyniszczony, splądrowany, zrujnowany finansowo i moralnie, z niewyobrażalnym i częściowo nieznanym poziomem zadłużenia. Niech się tym zajmie, kto chce.

Co więcej, wyraźnie nie obawia się więzienia, konfiskaty majątku i delegalizacji partii za zamach stanu, który przeprowadził. Gdyby jego przeciwnikiem nie był Péter Magyar, lecz prawdziwy demokrata, Orbán mógłby spodziewać się odpowiedzialności karnej. Teraz jednak wydaje się, że po ustanowieniu nieliberalnej dyktatury może się swobodnie wycofać. System się nie zmieni, lecz będzie kontynuowany i odnawiany przez jego bardzo dobrego i wiernego ucznia.

Zmiana pokoleniowa zamiast zmiany reżimu

Orbán i jego rodzina przejęli połowę kraju za pomocą podstawionych ludzi, dzięki którym teraz mogą bezkarnie odejść. Jakoś nikt nie wspomniał o tych ludziach, którzy zapewniali Péterowi Magyarowi fikcyjną pracę i miliony dolarów dochodu. Oczekuje się, że pokojowa transformacja zostanie wykorzystana do zapomnienia o zwrocie skradzionych aktywów. Péter Magyar ogranicza się do postulatu 1 proc. podatku od tych majątków. To kpina. Pociągnięcie Orbána do odpowiedzialności ewidentnie nie jest częścią tego procesu.

To nie jest zmiana reżimu, o jakiej zwykli Węgrzy marzyli przez ostatnie 16 lat. Łączenie „pojednania i rozliczenia" to polityczny trik; to wzajemnie wykluczające się pojęcia. Nie ma zmiany reżimu, ponieważ nie ma krytyki systemu. Péter Magyar nie demontuje tego, co przejmuje. Orbán nie znika, lecz zmienia pozycję na wygodną poselską ławę. Nie będzie obalonym, skompromitowanym przywódcą, lecz siłą opozycyjną. System się nie skończył, lecz nabrał nowej siły. Péter Magyar nie obiecał zniesienia orbánowskiej konstytucji – według jego słów, nie mieści się to w 50 najważniejszych zadaniach stojących przed nowym rządem. To, co nastąpiło – to tak naprawdę zmiana pokoleniowa w Fideszu.

Kiedy Orbán po raz pierwszy tracił władzę, w 2002 r., wyraźnie obawiał się odpowiedzialności; teraz tego lęku po nim nie widać. Są ku temu powody. Magyar potrzebuje Orbána i Fideszu jako opozycji, która będzie go legitymizować. To nie jest jedna z szaleńczych teorii spiskowych: nie twierdzę, że doszło do tajnego porozumienia za kulisami (choć mogła mieć miejsce wymiana wiadomości).

Trzeci szereg wystąp

Dzięki swojemu zwycięstwu Magyar zdobył kapitał polityczny, z którego może korzystać przez długi czas, nie tracąc swojego fanatycznego obozu. System zbudowany przez Orbána był koszmarem – dzięki ideologii, której Péter Magyar nie negował.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

W kampanii zwolennicy Magyara zapewniali, jeśli nie dotrzyma on obietnic, też zostanie zmieniony. To bajka. Węgrzy nie wypieprzyli Orbána przez 16 lat – a teraz będzie w parlamencie z dużą frakcją na swoim ulubionym stanowisku lidera opozycji. Może wrócić do władzy, jeśli zechce.

Ale teraz – przez jakiś czas – nie chce.

Wydaje się również, że jest to część niewypowiedzianej umowy, zgodnie z którą Magyar uzyskał większość dwóch trzecich głosów, podobnie jak wcześniej Orbán. System zbudowany przez Orbána wymaga większości właśnie dwóch trzecich do nieograniczonej władzy wykonawczej. Magyar zasiada więc w fotelu dyktatora z tymi samymi uprawnieniami, które miał Orbán, i zastępuje ludzi Orbána swoimi – wcześniej należącymi do drugiego lub trzeciego szeregu Fideszu. Struktura pozostaje. Péter Magyar nie wykorzysta swojej większości dwóch trzecich do przywrócenia rządów prawa, budowania barier instytucjonalnych i powrotu do trójpodziału władz.

Magyar stworzył euforyczną atmosferę, miesiąc miodowy może nadejść, choć w prasie zachodniej już pojawiają się sugestie, że osoba Pétera Magyara nie gwarantuje, że upadek Orbána oznaczać będzie przywrócenie demokratycznych rządów prawa na Węgrzech. Jego personalną wiarygodność podważa choćby jego praca – a raczej nieróbstwo – w Parlamencie Europejskim, gdzie był obecny na 1,9 proc. głosowań. Rozumiecie Państwo: nie było go, a szmal, i to niemały, dostawał.

Demokraci nieobecni

Demokratyczne zaplecze TiSzy nie zdołało się zorganizować i nie zawarło żadnego porozumienia z Magyarem w zamian za poparcie; Magyar zaś przezornie nie dopuścił żadnych demokratów do udziału w swojej formacji. Zresztą TiSza nie spełnia wymogów prawnych partii; możemy nazywać całą tę ekipę stowarzyszeniem (pisałem o tym w „NIE" 13/2026: „Orbán Magyar dwa bratanki"). Właśnie powstały „Wyspy TiSza", które są bezpartyjnymi organizacjami społecznymi. Brak partii oznacza brak instytucjonalnej możliwości rozliczania kierownictwa, korzystającego z nieograniczonej władzy, jaką daje większość dwóch trzecich.

Dzisiejsza radość jest zrozumiała: Orbán przynajmniej nie jest już premierem. Przez jakiś czas wyborcy będą z entuzjazmem przyjmować wszystkie jego decyzje – ale co potem?

Pytań dotyczących przyszłości jest więcej niż odpowiedzi. Wyborcy Magyara póki co nie zadają sobie tych pytań – albo udzielają na nie iluzorycznych odpowiedzi. Najważniejsze, że Orbána nie ma przy władzy.

Péter Magyar zniszczył konkurencję – poza Fideszem. Jego kampania wyborcza brutalnie zwalczała centrolewicową Demokratyczną Koalicję, która w 2022 r. dostała 37 proc. głosów – a w tę niedzielę 1,18 proc.

Zachód cieszy się, bo uważa, że Orbán poniósł porażkę. Ale zamiast jednego Fideszu są teraz dwa, a demokratyczna i liberalna lewica całkowicie zniknęła z parlamentu. To sytuacja gorsza niż przedtem.

Péter Magyar też jest antyimigranckim nacjonalistą. Na razie w łagodnej formie – ale ma swoim repertuarze komplet tematów nieliberalnego reżimu Orbána.

Uradowani demokraci na całym świecie nie wiedzą, że w osobie Pétera Magyara świętują człowieka, który nie sprzeciwił się ograniczeniom wolności zgromadzeń, nie wziął udziału w słynnej paradzie równości w Budapeszcie i nie zachęcał do tego swoich zwolenników. Który, podobnie jak Orbán, za każdym razem głosuje w Unii Europejskiej przeciwko Ukrainie, a za Rosją. Którego poglądy są bliższe Orbánowi niż Brukseli. Który ma partię liczącą 29 członków, bo nie wpuszcza nikogo, gdyż nie może znieść jakiejkolwiek kontroli. I który natychmiast zagroził dziennikarzom konsekwencjami, jeśli ośmielą się zadawać mu pytania, które mu się nie spodobają.

Będą kolejne niespodzianki. Należy się obawiać, że lewicowi i liberalni zwolennicy Magyara będą blokować pojawienie się jakiejkolwiek demokratycznej alternatywy – zgodnie z ich obecną narracją, podzieliłoby to siły przeciwne Orbánowi.

TiSza, Fidesz i neofaszystowska Nasza Ojczyzna (Mi Hazánk) tworzą parlament skrajnie prawicowy. Spełniło się największe marzenie Orbána: o Narodowym Systemie Współpracy. Czekają nas Węgry, gdzie antyliberalna ideologia połączy władzę i opozycję, które wspólnie uznają, że normy demokratyczne to przeżytek.

I z czego się cieszą polscy rządzący?

LÁSZLÓ BALOGH

---

skich i socjalnych ustępstw polskich konserwatystów, strasząc ich alternatywą bolszewickiej rewolucji. Gdyby nie powszechne rewolucyjne wrzenia, polskie kobiety pełni praw politycznych szybko mogły nie mieć.

Niestety, system demokratyczny w II Rzeczpospolitej szybko zaczął gnić. Uchwalona w marcu 1921 r. konstytucja wprowadziła monteskiuszowską koncepcję trójpodziału władz i pojęcie politycznego narodu składającego się ze wszystkich obywateli państwa polskiego, bez względu na ich przynależność etniczną. Jak we wzorcowych zachodnioeuropejskich demokracjach.

Ale pierwszy wybrany przez Zgromadzenie Narodowe prezydent RP został w grudniu 1922 r. zabity w efekcie nagonki; ówczesnego hejtu nacjonalistycznych mediów.

II Rzeczpospolita była słaba gospodarczo. Scalano ją z kawałków trzech różnych, odrębnych przedwojennych gospodarek. Budowano kapitalizm bez posiadania polskiego kapitału. Państwo polskie uzależniło się od od zagranicznych pożyczek.

Nie sprzyjało to stabilności rządów II RP. Opartych na parlamentarnych większościach skleconych na potrzeby chwili z różniących się programami klubów. Chroniczne kryzysy gospodarcze, plemienne wojny piłsudczyków z narodowcami, niezrozumiałe dla wyborców gry parlamentarne doprowadziły do upadku autorytetu demokratycznego parlamentaryzmu. Powszechnej nienawiści do partyjniactwa, stereotypu posła nieroba sprzedającego się „za piwo i serdelasa".

W maju 1926 r. jeden z ojców niepodległego państwa polskiego Józef Piłsudski zainicjował wojskowy zamach stanu. Wprowadził autorytarne rządy. Potem nową konstytucję, legitymizującą odwrót od demokracji.

Wielu reprezentantów ówczesnych elit, nawet naukowych i artystycznych, poparło rządy silnej ręki mitologizowanego Marszałka. Proponującego porywający, znany z podobnych puczów, program „Bić kurwy i złodziejów".

Taki zwrot od demokracji ku autorytarnym rządom nie był szczególny w naszej Europie Środkowo-Wschodniej. Rekrutujący się z wojskowych środowisk zamordyści zdobywali też władzę u naszych sąsiadów. Na Węgrzech i na Litwie, w Rumunii i w Niemczech.

W naszej Europie jedynie Czechosłowacja zachowała demokratyczny system. Ale i tak została politycznie sprzedana totalitarnej Rzeszy Niemieckiej przez demokratyczne, mocarstwowe Wielką Brytanię i Francję. Przy aktywnym udziale autorytarnych węgierskich, rumuńskich, polskich sąsiadów i niedawnych słowackich braci. Pragnących pożywić się czeskim trupem.

Włoski dizajn

II Rzeczpospolita zaczynała jako demokratyczna, skończyła jako autorytarna.

Bo nie było społecznego poparcia dla zachodnich rozwiązań. Wzorcowa francuska demokracja była pogardzana przez polskie elity. Piłsudczycy nie cierpieli francuskich elit nawet na gruncie towarzyskim. Francuskie elity jeszcze bardziej były wobec polskich niechętne. Prezydentowi Mościckiemu bliżej było do marszałka Göringa, choć prezydent świetnie znał francuski. Ale lubił polować, jak i Wielki Łowczy Rzeszy. W imię wspólnych pasji dostał od Göringa wypasionego terenowego Mercedesa. Za co zrewanżował mu się orderem Orła Białego. Podarowany w 1938 r. terenowiec przydał się we wrześniu 1939 podczas ucieczki do bratniej, autorytarnie rządzonej Rumunii.

W II RP to Mussolini i jego faszyzm były podziwiane przez narodowców z ONR-u i sanacyjnego OZN-u. Bo włoskie państwo budowało już autostrady, pancerniki, samoloty, samochody, traktory i sieci kin z włoskimi filmami. Wszystko zrobione z włoską elegancją. Ech, gdyby nie nazistowska III Rzesza, to II Rzeczpospolita byłaby spolonizowaną wersją faszystowskiej Italii.

Socjalizm, demokracja, nacjonalizm

Polska Ludowa zaczynała jako echo II RP z jej demokratyczną konstytucją marcową. Rychło miała być socjalistyczną i w treści, i w formie. Totalitarną, prawie radziecką. Po 1956 r. system polityczny i gospodarczy PRL łagodniał. Jego socjalistyczną formę coraz bardziej nasycano narodową treścią. Powstała wtedy potulna „demokracja socjalistyczna", grożąca jednak niekontrolowanym „demokratycznym socjalizmem". Pomimo politycznej i wojskowej zależności od „demokracji radzieckiej" nasz system polityczny, wraz ze społeczeństwem Polski Ludowej, stopniowo się demokratyzował. Sprzyjały temu postępujący rozpad ZSRR i polskiej gospodarki.

W 1989 r. formalnie egzystującego socjalizmu nikt – nawet formalnie „socjalistyczne" resorty siłowe – bronić nie chciał.

Konstytucja z 2 kwietnia 1997 r. unormowała demokrację krzepnącej już III Rzeczpospolitej. Z klasycznym trójpodziałem władz. Systemem parlamentarno-gabinetowym. Gospodarką wolnorynkową. Społeczeństwem obywatelskim. Władzami samoograniczającymi swe władcze ambicje.

Dziś widzimy, jak system polityczny III RP podąża drogą II RP. Od formalnej demokracji do coraz bardziej autorytarnych rządów.

Zwłaszcza od kiedy krytykując imposybilizm prawny i niemoc decyzyjną organów władzy, prezes Kaczyński i jego Zjednoczona Prawica doprowadzili do paraliżu polskiego systemu władzy sądowniczej. Postulując „aktywizm" elit politycznych, stworzyli system rządów poza obowiązującym prawem.

Powstała po wyborach 2023 r. koalicja antypisowska zderzyła się z polityką wet prezydenta Dudy, a potem Nawrockiego. Wtedy premier Tusk przyjął autorytarną formę swych rządów, nazwanych demokracją walczącą.

Zaczął sięgać po działania pozaprawne, czasem nawet bezprawne, aby „jedynie" przywrócić należny obywatelom porządek prawny i utracone instytucje demokratyczne.

Czuły na społeczne nastroje i sondaże lider Koalicji Obywatelskiej doprowadził też do nowej treści pojęcia obywatelskości. Koniec z prawem do azylu, fundamentem praw człowieka. Ograniczenie nadawania obywatelstwa polskiego. Redukcja praw socjalnych dla nieetnicznych Polaków. Zadeklarował, że w obecnym świecie najpierw realizujemy polskie interesy, potem Unii Europejskiej i sojuszników z NATO. A rosyjskiego wroga też już zdefiniowaliśmy.

Mniej więcej taką samą politykę chce realizować prezydent Nawrocki. Tylko innymi ludźmi. Wcześniej chce zmiany systemu władzy na prezydencki. Zwyczajowej teraz, potem zapisanej w konstytucji. Chce rządzić jak król Polski. Wie, że wielu Polaków woli wizję dziarskiego króla od skomplikowanych reguł demokracji.

Poza tym bez królewskiej pozycji Nawrocki pozostanie podwykonawcą Prezesa Polski. Popaść może w inteligencki imposybilizm omotany przez demokrację walczącą autorytarnie rządzącego premiera.

Żyjące jeszcze w Polsce osobniki, relikty kurczowo przywiązane do zachodniej demokracji, będą miały w przyszłym roku wybór między autorytarnym nacjonalistą Nawrockim, autorytarnym nacjonalistą Kaczyńskim i autorytarnym nacjonalistą Tuskiem.

Będą wybierać jedynie formę i styl rządów autorytarnych.

O porzuceniu powolnej, liberalnej demokracji na rzecz dziarskiego „patriotycznego" nacjonalizmu większość obywateli Polaków już zdecydowała.

PIOTR GADZINOWSKI

eprasa.pl 8f0a9fc9f0

Wielki Brat patrzy

SŁOWO CZERWONE

Nie ulegajmy terrorowi algorytmu

Media głównego nurtu cenzurują się same. Ale my, wolnomyśliciele, jesteśmy systematycznie uciszani, cenzurowani przez mityczny algorytm. Kiedy napisałem o gościu, który w czasie powodzi przekopał groblę i puścił wodę na sąsiednie osiedle, żeby uchronić przed zalaniem swój kurort, algorytm zadziałał i ograniczył liczbę odbiorców tego komunikatu do kilkudziesięciu. Kiedy puściłem tę wiadomość na X z zaznaczeniem, że YouTube i Facebook to zablokował, film pokazujący, co się stało, obejrzało ponad 400 tys. odbiorców.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kiedy chcieliśmy nagrać wiadomość, że domagamy się od rządu RP zerwania stosunków dyplomatycznych z Izraelem ze względu na popełniane przez ten kraj zbrodnie wojenne, poszliśmy nagrać przed ambasadę Izraela. I co? I nic się nie nagrało. Tzn. nagrał się obraz mnie ruszającego ustami, bo dźwięk zagłuszyła izraelska zagłuszarka. Daliśmy radę, nagraliśmy to samo w biurze Ruchu Sprawiedliwości Społecznej ze sztucznie wygenerowanym tłem przedstawiającym ambasadę. YouTube ten film zablokował, tak że prawie nikt go nie obejrzał, ale na Facebooku obejrzało go ponad 400 tys. osób, a 20 tys. film polubiło.

Wojciech Szewko, na YouTubie komentujący na bieżąco wojnę USA i Izraela z Iranem, omija działanie algorytmu, zastępując słowa, które algorytm zwykle wychwytuje, by blokować przekaz.

W znakomitym programie „Na Wschód od Bliskiego Wschodu" Izrael nazywany jest „państwem położonym tam, gdzie chce", Hamas to humus, Hezbollach to jabollach, armia Izraela to armia humanistyczna, a zabić kogoś to „wysłać na drogę do Jerozolimy". I wiecie co? Udaje się.

Ten prosty zabieg nie tylko dodaje przekazowi atrakcyjności, ale działa. Algorytm, ten globalny cenzor, jest głupszy od carskiej cenzury.

Przechytrzanie cenzury to w czasach Polski Ludowej była znakomita zabawa. Nie sądziłem tylko, że będziemy do takich zabaw musieli wracać.

Wolny świat nie musiałby nakładać ludziom i mediom kagańca, gdyby niósł ze sobą dobro i prawdę. Jednak utrzymywanie, że zamordowanie przez państwo położone tam, gdzie chce, 72 tys. ludzi w Gazie i doprowadzenie do śmierci głodowej podobnej liczby jest ludobójstwem – nie zasługuje na wyciszanie. A nazwanie zbrodni po imieniu to nie antysemityzm. Tak jak zbrodnią jest zbombardowanie szkoły żeńskiej, w wyniku czego 74 dziewczynki poniosły śmierć. Zwłaszcza że tej zbrodni dopuściły się amerykańskie siły zbrojne, które są zdolne wyśledzić i zabić pociskiem rakietowym poszczególnych członków rządu Iranu. Czyli nie sposób uwierzyć, że to była pomyłka.

Prawda przedostaje się do szerszych kręgów odbiorców tylko wtedy, kiedy sami sprawcy zbrodni wojennych o nich mówią czy je zapowiadają.

Trochę mnie dziwi, że algorytm nie wyłapał przeraźliwie złej zapowiedzi, że w wyniku nalotów USA „zginie cała cywilizacja". Większość opinii odebrała to jako zapowiedź nuklearnego Armagedonu. Mimo algorytmicznej cenzury Trump swoimi piramidalnie głupimi wpisami w mediach społecznościowych doprowadził do spadku popularności swojego i swojej formacji politycznej.

O tym, że ta totalitarna cenzura internetu jest tłumieniem wolności słowa, świadczy fakt, że krytyczna wobec Trumpa, USA, Izraela opinia Wojciecha Szewki zgromadziła grubo ponad 200 tys. subskrybentów, którzy odnajdują swą ulubioną audycję, mimo że platforma, na której ją umieszczono, utrudnia jak może jej odnalezienie.

Sam autor podcastu wciąż się waha: czy ograniczenia w dostępności jego kanału to ślepa siła algorytmu, czy też może jakaś korporacyjna, proamerykańska ręka cenzora stara się ograniczać zasięgi.

Orbán panował w mediach głównego nurtu na Węgrzech, a mimo to opozycyjny kandydat Magyar wygrał za pomocą komunikatów internetowych. To o tyle dziwne, że Orbána – tak jak i innych antyunijnych polityków – popierał ze wszystkich sił Donald Trump. To optymistyczne i dowodzi, że jeśli ludzie mają dość, to czujna ręka na suwaku popularności nie pomoże.

Jeżeli najgorsze kanalie są w łaskach algorytmu, to i tak trzeba w nich walić. A nuż dobro zwycięży?

PIOTR IKONOWICZ

Resort ściemy

Ministerstwo Zdrowia wyjaśnia, że nieleczenie jest dobre dla pacjentów

Ministerstwo Zdrowia, jebane za cięcia w NFZ, odpaliło medialną kampanię „Stop dezinformacji". Kłopot polega na tym, że resort na niepokój i bolączki pacjentów odpowiada toporną propagandą.

Zainicjowany przez Ministerstwo Finansów walec oszczędności w NFZ ruszył i wszystko wskazuje na to, że oszczędzi niewielu. W zapewnienia MZ o utrzymaniu dostępności badań – pomimo obniżenia ich finansowania – nie uwierzyli ani lekarze, ani pacjenci. Słusznie. Jak Polska długa i szeroka, słychać o odwoływaniu diagnostyki z powodu wyczerpania limitów na ten rok. Jako że mamy dopiero kwiecień, trudno o wyrozumiałość wobec takich wieści.

Ofensywa informacyjna

Na minister zdrowia Jolantę Sobierańską-Grendę spadła fala krytyki za brak reform i skupianie uwagi na decyzjach kadrowych. Malkontentom nie dogodzisz. Z końcem marca Sobierańska-Grenda dokonała kluczowych zmian personalnych w resorcie. Nową dyrektorką Biura Komunikacji MZ w ramach awansu została dr Katarzyna Kopeć-Ziemczyk, a stanowisko rzeczniczki prasowej objęła Anna Choszcz-Sendrowska. Ministerstwo Zdrowia najwyraźniej uznało, że skoro nie jest w stanie dbać o pacjenckie dupy, zadba chociaż o swoją. Biuro ostro wzięło się do roboty i przygotowało ofensywę medialną.

Dr Kopeć-Ziemczyk od grudnia 2025 r. piastowała stanowisko zastępczyni Jakuba Gołębia, dyrektora Biura Komunikacji MZ. Wcześniej była związana z Polską Agencją Antydopingową, gdzie także pełniła funkcję kierowniczki ds. komunikacji i mediów. Anna Choszcz-Sendrowska była wcześniej ekspertką w Departamencie Edukacji i Promocji Zdrowia oraz rzeczniczką prasową Lasów Państwowych. Pisaliśmy o niej w „NIE" 34/2025, przybliżając Czytelnikom serię programów „W gąszczu informacji", gdzie rozmawiała z gośćmi o formach manipulacji. Materiały miały poprawić PR Lasów Państwowych, które pod rządami nowej ekipy okazały się równie zgniłą instytucją jak za pisowskich poprzedników. Na tę też okoliczność w kilku odcinkach grono medioznawców opowiadało, jakimi idiotami są dziennikarze. Gasząc pożar na gruzowisku świadczeń zdrowotnych, ministerstwo postanowiło zrobić wariatów solidarnie ze wszystkich. Mówiąc językiem emocji – wyszło chujowo.

„W przestrzeni publicznej pojawia się wiele nieprawdziwych lub uproszczonych informacji dotyczących systemu ochrony zdrowia w Polsce. Warto je wyprostować i rzetelnie informować pacjentów" – napisano w social mediach MZ i zrobiono dokładnie na odwrót.

Na pierwszy ogień poszły trzy punkty zapalne z ostatnich tygodni: likwidacja porodówek, szukanie raka w dupie i konsolidacja szpitali. Z niepokojami ciężarnych poradzono sobie bez mydła. Resort wyłuszczył, że decyzje dotyczące utrzymania lub przekształcenia konkretnych oddziałów zapadają na poziomie organów właścicielskich i zarządzających szpitalami, czyli w regionach – nie centralnie. Ministerstwo Zdrowia zaś, w swej łaskawości, „zaproponowało rozwiązanie w postaci interwencyjnych punktów położniczych, finansowanych przez Narodowy Fundusz Zdrowia". Jak podkreślono, „obejmują one całodobową opiekę wykwalifikowanej położnej".

W samym styczniu zamknięto 18 porodówek, a nie powstał ani jeden pokój narodzin lub – jak kto woli – punkt położniczy. Prawdą jest, że decyzje o zamykaniu oddziałów zapadają lokalnie. Nie zmienia to faktu, że procedury na oddziałach ginekologiczno-położniczych należą do najsłabiej wycenianych przez NFZ. To jeden z głównych powodów ich chronicznej nierentowności i masowych likwidacji.

Czarna dziura

Przenieśmy się na tyły, czyli tam, gdzie są aktualnie pacjenci – do dupy. „Profilaktyka raka jelita grubego nie została objęta żadnymi zmianami w finansowaniu przez NFZ. Dzieci i młodzież do 18. roku życia oraz pacjenci onkologiczni niezmiennie pozostają priorytetem systemu ochrony zdrowia. NFZ wprowadza natomiast zmiany w sposobie finansowania części badań diagnostycznych, co nie oznacza ograniczenia dostępu do profilaktyki" – orzekło ministerstwo. Już od samego czytania można dostać wylewu.



Rys. TOMASZ WIATER

Jakby ktoś nie zrozumiał, minister Sobierańska-Grenda poprawiła jeszcze łopatologię w programie „Gość Wydarzeń" w Polsat News.

– Badania profilaktyczne w kierunku raka jelita grubego to nie to samo co badania diagnostyczne. Badania finansowane przez NFZ w profilaktyce raka jelita grubego będą kontynuowane na dotychczasowych zasadach. Chciałabym, panie redaktorze, żebyśmy w precyzyjny sposób komunikowali wprowadzane zmiany – pouczyła szefowa resortu zdrowia.

Właściwie trudno stwierdzić, co chciała powiedzieć. Badania profilaktyczne, czyli przesiewowe, mają za zadanie wykryć chorobę we wczesnym, bezobjawowym stadium lub ocenić ryzyko zachorowania. Badania diagnostyczne wykonuje się, kiedy coś szwankuje na tyle, że lekarz ma podejrzenie np. inwazyjnego śmiercionośnego lokatora. Przykładowo, trzymając się jelit: kolonoskopię z biopsją. Może zatem lepiej nie przyznawać się do niepokojących objawów i załapać na profilaktykę? Z tym że badania przesiewowe wykonuje się do 65. roku życia. Co robić później? Tego minister już nie wyjaśniła.

Pamiętacie, że obcięto też badania rezonansem i tomografem komputerowym? Nie ma co jęczeć, w dobrej wierze. Jak wyjaśniło MZ, „system diagnostyki obrazowej w Polsce osiągnął punkt, w którym dalszy wzrost liczby badań bez wdrożenia mechanizmów jakościowych, organizacyjnych i cyfrowych generuje ryzyko dla bezpieczeństwa pacjentów i systemu". Narażenie na hałas, klaustrofobię? Nie doprecyzowano.

Cięcia w finansowaniu badań obrazowych (TK, MRI, RTG) skomentował na łamach „Pulsu Medycyny" dr hab. n. med. generał Gerard Gielerak. Stwierdził, że za tymi oszczędnościami może kryć się szersza inicjatywa mająca na celu ograniczenie ekspozycji pacjentów na promieniowanie.

Krótko mówiąc, w celu zapobieżenia nadmiernemu napromieniowaniu obywateli profilaktycznie uwalono wszystkie świadczenia od kreski.

Ministerskie miraże

„Dość straszenia pacjentów. Konsolidacja to nie likwidowanie opieki, lecz profilowanie i porządkowanie świadczeń z myślą o pacjentach. Konsolidacja świadczeń to realna poprawa jakości opieki, a nie jej ograniczanie" – ogłoszono w social mediach Ministerstwo Zdrowia. Zupełnie jakby powiedzieć, że picie alkoholu to wprowadzanie baśniowego elementu do życia. Tymczasem sprawy nie mają się zbyt dobrze.

Zadłużone po cyce szpitale liczą na pomoc państwa. Resort zdrowia wskazał w ustawie możliwość ich reform, m.in. poprzez konsolidację oddziałów i ich przekształcanie. Niestety, na razie nie poszły za tym rozwiązaniem narzędzia wspierające oddłużanie.

Część szpitali upatruje ratunku w restrukturyzacji opartej na ustawie o prawie restrukturyzacyjnym. Dlaczego? Bo widzą w niej jedyną szansę na powstrzymanie narastającego zadłużenia. Wszystkie długi powstałe przed otwarciem postępowania są zamrożone. Szpital zyskuje ochronę przed wierzycielami na czas trwania postępowania, niekiedy na całe miesiące.

Jak wiadomo, system ochrony zdrowia na samym dole kredytują dostawcy towarów i usług. Samodzielne publiczne zakłady opieki zdrowotnej (SPZOZ) mimo wszystko były do tej pory uważane za wypłacalne, bo w ostateczności ich zobowiązania należą do organów tworzących, czyli do samorządów lub skarbu państwa. SPZOZ-y zwyczajnie nie mogą upaść ani wejść w stan likwidacji. Precedens z restrukturyzacją zmienia postać rzeczy. Wierzyciele tracą realną możliwość szybkiego odzyskania kasy.

Dokładnie tak zdarzyło się ostatnio w szpitalu w Skarżysku-Kamiennej. Firma, która dostarczała drogie leki na stwardnienie rozsiane do zadłużonej lecznicy, odmówiła podpisania nowej umowy. Warunkiem dostawcy było m.in. oświadczenie szpitala, że nie wejdzie w restrukturyzację. Szpital odmówił, ostatecznie część pacjentów biorących udział w programie lekowym przekierowano do innych placówek.

Reklamowany przez minister zdrowia program konsolidacji i idący za nim miliard złotych nie wpłynie na dotychczasowe zadłużenie szpitali. Spłata zadłużeń będzie zależała od wypracowanych zysków i rządowych grantów. Te natomiast pojawią się w procesach likwidacji oddziałów, etatów itd., bo na tym polega łączenie placówek.

10 kwietnia podczas konferencji SOPKARD w Sopocie minister Sobierańska-Grenda narzekała, że pod względem profilaktyki Polacy są w ogonie Europy. W jej ocenie powodzenie działań profilaktycznych zależy przede wszystkim od zaangażowania społeczeństwa oraz skutecznej komunikacji, w tym walki z dezinformacją. Walczymy, pani minister, walczymy.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 8f0a9fc9f0

Igraszki w Trybunale

Winę za dzisiejszą degrengoladę TK rozkładam po równo



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Minister sprawiedliwości ogłosił, że będzie karnie ścigać prezydenckich urzędników – w tym szefa kancelarii – za doradzenie głowie państwa, żeby nie zaprzysięgała sędziów Trybunału Konstytucyjnego. I dodał z rozbrajającą szczerością, że wziął się za ministrów, bo prezydent jest poza jego zasięgiem – ścignąć go może tylko Trybunał Stanu. Waldemar Żurek wyjaśnił swoją inicjatywę dziennikarzowi Polsatu, porównując spór między kluczowymi konstytucyjnymi organami RP do włamu u jubilera: „Jak pan doradzi swojemu koledze: »słuchaj, tu jest jubiler i on ma dosyć cenne rzeczy«”… W odpowiedzi szef Kancelarii Prezydenta RP ogłosił w socjal mediach, że minister sprawiedliwości RP „odleciał w kosmos” i „orbituje”.

Nie mam poczucia, że to jest poziom debaty publicznej, na jaki liczyło 11 mln obywateli, którzy w październiku 2023 r. oddali głos przeciw PiS.

I od razu wyjaśniam, czemu czepiam się „naszej strony”, a tej drugiej nie. Otóż „nasi” mieli być lepsi. To myśl, która towarzyszy mi za każdym razem, kiedy jakiś harcownik Koalicji 15 października rzuca się do zapasów w błocie z bojowcami prezesa. Oczywiście, że Nawrocki i PiS prowokują – to poza wszelką wątpliwością – ale niesmak pozostaje.

W tym akurat przypadku – zaprzysiężenia sędziów Trybunału Konstytucyjnego – nieumiejętność oparcia się prowokacji ma jeszcze większy kaliber. Bo w tej chwili trybunału de facto nie ma, a to, co robi strona rządowa, gwarantuje, że dalej go nie będzie. Żeby zacytować klasyka: „nie o take Polske walczyliśmy”.

Dyskusja o tym, kto zaczął, jest dziś kompletnie jałowa. PiS powie, że Platforma wybrała – przed oddaniem władzy w 2015 r. – pięcioro sędziów TK, w tym dwoje na miejsca, które miały się zwolnić dopiero w kadencji nowego sejmu i przez nowy sejm powinny zostać obsadzone. Antypis przypisze odpowiedzialność prezydentowi Dudzie i jego odmowie przyjęcia ślubowania od całej piątki – także tych wybranych prawidłowo – oraz ówczesnej pisowskiej większości sejmowej, która „bez żadnego trybu” odwołała poprzednią decyzję i wybrała sędziów dublerów. Potem mieliśmy osiem lat pisowskiej arogancji i braku jakiegokolwiek poszanowania dla reguł państwa prawa – ale potem przyszło nowe i zaczęło się zachowywać tak samo.

Decyzja obecnej większości sejmowej, żeby nie uzupełniać wakujących stanowisk w TK przez 15 miesięcy – i poczekać, aż da się to zrobić hurtem i zdobyć większość – nie była zgoda z regulaminem sejmu ani z duchem prawa. Decyzja prezydenta, żeby z szóstki sędziów – wybranych legalnie, choć po czasie – wytypować sobie dwójkę, która mu najmniej zawadza, była wprost niezgodna z ustawą. A także – jako rażące przekroczenie prezydenckich uprawnień – z konstytucją. Do tego wyjaśnienie min. Boguckiego, że prezydent zaprzysiągł akurat te dwie osoby, bo one „nie angażowały się w różnego rodzaju działania o charakterze politycznym po żadnej ze stron” brzmi jak dowcip w ustach przedstawiciela partii, której nominatami w TK byli Piotrowicz i Pawłowicz.

Z drugiej jednak strony koncept, że „wobec prezydenta” nie musi znaczyć jego fizycznej obecności, toteż sędziowie mogą sobie ślubnąć byle gdzie, byleby powtórzyli tę magiczną formułkę w rocie ślubowania, nieco obraża inteligencję. Zwykłą ludzką – niekoniecznie prawniczą. I – co może ważniejsze – było absolutnie do przewidzenia, że tak zaprzysiężonych sędziów prezes Święczkowski nie dopuści do orzekania niezależnie od tego, czy uznajemy, że jest on prezesem, czy nie.

Co można było zrobić? Na to pytanie odpowiada prof. Maciej Gutowski – wybitny prawnik, którego nie sposób oskarżyć o pisizm.

Zamiast wysyłać do Trybunału Konstytucyjnego szefów stowarzyszeń sędziowskich, które przez osiem lat wojowały z PiS, można było wybrać szanowanych konstytucjonalistów, znanych z pracy naukowej, nie z „walki o praworządność”, profesorów prawa o niepodważalnym autorytecie – w obecnym składzie TK, łącznie z inkryminowaną szóstką, nie ma ani jednego konstytucjonalisty i ani jednego profesora tytularnego. Trzeba było posłuchać lutowego apelu 31 organizacji (wśród nich znalazły się Akcja Demokracja, Fundacja Batorego, Helsińska Fundacja Praw Człowieka czy Komitet Obrony Demokracji), które wzywały do transparentnej, czytelnej procedury, przewidującej czas na zapoznanie się z sylwetkami kandydatów, także przez opinię publiczną, na poważną analizę ich dorobku w komisjach sejmowych, a może i wysłuchanie publiczne.

Przede wszystkim zamiast nagradzać zasłużonych w walce z PiS trzeba było wybrać kandydatów, których i PiS mogłoby zaakceptować. Raz to się udało – przy wyborze prof. Macieja Wiącka na RPO – i efekt jest znakomity.

Właśnie dlatego – śmiem twierdzić – że nikt nie wie, jakie poglądy polityczne ma prof. Wiącek.

Krótka wymiana zdań między prof. Gutowskim, krytykującym działania obecnej koalicji i dziennikarką „GW”:

– Ale PiS też przeciągał i kumulował miejsca.

– Ale ja nie chcę, żeby było tak jak za PiS.

A Wy chcecie?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Wieś coraz mniej sielska

Nawrocki do spółki z Krajewskim tak pomogą rolnikom, że się chłopy nie pozbierają.



Rys. HENRYK CEBULA

Politycy postanowili zrobić rolnikom dobrze. Na tę okoliczność światło dzienne ujrzały aż dwa projekty ustaw o ochronie rolniczych funkcji produkcyjnych wsi. Kłopot polega na tym, że lex rolnik może się zamienić w lex gnój.

Kwik

Jak wynika z raportu Państwowego Instytutu Ekonomicznego, w latach 2011–2020 na terenach pozamiejskich zarejestrowano przyrost ludności o blisko 463 tys. osób. Exodus elementu miejskiego na obszary wiejskie trwa w najlepsze i generuje niemało atrakcji natury sądowej. Hodowanym wśród galerii handlowych mieszczuchom nie po drodze z perfumą obór i pól. Odgłosy wsi, które nie chcą być sielskie, irytują nowych mieszkańców równie mocno. Z myślą o konfliktach między miastowymi pudlami a wiejskimi lokalsami przedstawiono dwa projekty ustaw, które mają wesprzeć w sporach rolników. Swoje propozycje przygotowali resort rolnictwa i prezydent Karol Nawrocki. Z obu wynika, że nadrzędnym celem proponowanych rozwiązań jest prawna ochrona rolnictwa jako fundamentu bezpieczeństwa żywnościowego kraju.

Przepisy mają zapobiegać bezzasadnym pozwom sąsiedzkim poprzez wprowadzenie domniemania legalności typowych uciążliwości, takich jak zapylenie, hałas maszyn czy smród. Różnice między projektami są bardziej techniczne i proceduralne niż merytoryczne. Minister rolnictwa Stefan Krajewski oskarżył nawet prezydenta o kopiowanie pomysłów i wezwał go do podpisania rządowej propozycji zamiast tworzenia dubla. W sumie jeden grzyb, bo oba idą w tym samym kierunku – wzmacniają ochronę działalności rolniczej i uderzają w możliwość obrony mieszkańców wsi przed syfem produkcyjnych molochów.

Na pierwszy rzut oka założenia obu propozycji wydają się słuszne. Mają wskazać, że prowadzenie i modernizacja działalności rolniczej mieszczą się co do zasady w granicach zwyczajnego korzystania z nieruchomości i nie powinny być uznawane za nadmierne oddziaływanie na sąsiadów. Krótko mówiąc, jeśli Kowalski wybuduje willę obok Nowaka, który od lat hoduje świniaki i uprawia kawał pola, pretensje o chrumkanie i woń będzie mógł wsadzić sobie w dupę. Także jeśli sąsiad chlew rozbuduje. Spod rygoru karalności wyleci też zakłócanie spoczynku nocnego, jeśli wynika ono z potrzeb szeroko pojętej produkcji żarcia – np. żniw. Wyjątkiem byłyby sytuacje, w których ustalono, że działalność prowadzona jest niezgodnie z zasadami prawidłowej gospodarki rolnej lub przepisami prawa.

Co istotne, już przy zakupie nieruchomości poza granicami administracyjnymi miasta nabywca miałby składać oświadczenie, że jest świadomy możliwych perturbacji związanych z działalnością rolniczą prowadzoną po sąsiedzku. Kupujący zatem musi notarialnie zaakceptować, że kogut pieje, a traktor to nie elektryczny Bolt.

Ubój wkurwionych

Na pozór pomysł uwzględnia potrzeby obu stron. Kłopot polega na tym, że polskie rolnictwo od lat przechodzi wyraźny proces koncentracji i profesjonalizacji. Tylko w latach 2010–2020 liczba gospodarstw rolnych zmniejszyła się o blisko 13 proc., głównie w wyniku zanikania tych mniejszych na rzecz agrokonglomeratów. Rodzi się zatem pytanie, kogo tak naprawdę proponowane zapisy miałyby chronić. Do jakiego stopnia hałas generowany przez zwierzynę czy techniczne zaplecze będzie uznawany za dopuszczalny oraz co właściwie kryje się pod hasłem granic normalnego korzystania z nieruchomości. W rzeczywistości bowiem może się okazać, że zarówno prezydencki, jak i resortowy bajer na rolnika osłabi ochronę jakości życia wszystkich mieszkańców wsi – bez względu na ich pochodzenie.

W kraju nad Wisłą brakuje systemowych mechanizmów chroniących osoby mieszkające na terenach wiejskich przed ekspansją ferm wielkotowarowych. Wszystko dlatego, że w polskim prawie nie istnieje spójna definicja ferm przemysłowych. Termin, owszem, pojawia się w debacie publicznej i orzecznictwie, ale prawo posługuje się kryteriami pośrednimi. Chodzi o wielkość obsady żywego inwentarza czy progi w rozporządzeniach dotyczące przedsięwzięć mogących oddziaływać na środowisko. Wszystkie te składowe różnicują obowiązki środowiskowe i raportowe. Nie tworzą jednak kategorii „ferma przemysłowa” z odrębnymi ograniczeniami lokalizacyjnymi, wymogiem odległości od zabudowy mieszkaniowej czy specjalnymi standardami uciążliwości – np. zapachowej. Na marginesie mówiąc, prace nad ustawą odorową trwają od lat, cyklicznie powracają i znikają, żeby pojawić się przy kolejnej kadencji rządu… To nie tylko wymysł zlewaczałych ekologów. W sprawie braku regulacji lokalizacji i nadzoru fermowych molochów rzecznik praw obywatelskich alarmował premiera rok temu.

Kto komu śmierdzi

Według raportów NIK i RPO oraz licznych organizacji pozarządowych problemy nasilają się już przy fermach liczących kilkaset zwierząt. Liczba skarg do urzędów systematycznie rośnie, a sądy coraz częściej uznają nadmierną emisję odorów i innych artefaktów za immisję ponadnormatywną i zasądzają odszkodowania. Nowe przepisy będą ułatwiać powstawanie takich miejsc i chronić ich dalsze funkcjonowanie. Powiększenie hodowli i bez lubrykantu zmieści się w zapisie o modernizacji gospodarstwa.

Polaryzacja mieszczuchów i wsioków to jedna strona medalu.

Pomysły prezydenta i Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi uderzą przede wszystkim w małe rodzinne gospodarstwa rolne. Zdarza się, że obszarnicy wydzierżawiają pół wsi, a na stałe mieszkają w mieście.

Obszarnik wraca na chatę do aglomeracji, a smród i pestycydy zostają pod oknami sąsiadów. Konglomerat hodowlany to zanieczyszczenie powietrza, hałas wentylatorów i maszyn, plagi owadów i gryzoni, skażenie gleby czy wzmożony ruch ciężarówek w okolicy. Spadek wartości nieruchomości to problem dla gospodarstw ekologicznych, agroturystycznych i rozwoju lokalnego. Jeśli któraś z ustaw wejdzie w życie, to na skarżących będzie leżał ciężar przedstawienia dowodu winy sąsiada. W zderzeniu z lukami prawnymi trudno nie odnieść wrażenia, że opowiastki o ochronie rolników mają służyć systemowej ochronie dla przemysłu i inwestorów. Jest to narracja niesmaczna jak ziemniaki importowane z Egiptu.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

eprasa.pl 8f0a9fc9f0

Bankier szuka żony w koniczynie

Cierpienia byłego premiera

Mateusz Morawiecki cierpi, co jest widokiem równie budującym jak procesja Bożego Ciała w rzęsistym deszczu. Niby mokro i smutno, ale widowisko przednie. Jego związek z prezesem-bożkiem wszedł właśnie w fazę, którą w podręcznikach biologii i patologii władzy opisuje się jako „stadium pożarcia godowego". Jarosław Kaczyński ma bowiem tę urokliwą cechę modliszki, że każdą swoją polityczną nałożnicę – od Dorna i Marcinkiewicza przez Ziobrę, Gowina, Kluzik-Rostkowską aż po Kurskiego, Kamińskiego i Cymańskiego – najpierw obsypuje stanowiskami i zaszczytami, a potem spuszcza w klozecie historii.

Teraz kolej na Mateusza, który przed świętami poczłapał na Nowogrodzką, by wreszcie usłyszeć z ust samego Najwyższego to, co dotychczas z lękiem podczytywał w Onecie: że jego termin przydatności do spożycia minął. W przedpokoju do sypialni prezesa, tam gdzie zapach naftaliny i starego kawalera miesza się z aromatem absolutnej władzy, pręży się już przecież Przemysław Czarnek.

Nagranie, którego nie ma

Panowie nie gawędzili o pogodzie. Jak donieśli nam nasi niezawodni szpicle, głównym tematem była desperacka próba bankiera-patrioty, by zbratać się z Kosiniakiem-Kamyszem (tym internistą z PSL – obecnie ministrem od wojny). Marzy im się nowa frakcja naukowo-chłopska – hybryda tak groteskowa, jakby próbować zamontować terminal do płatności zbliżeniowych na dyszlu od furmanki.

Morawiecki ponoć nadal święcie wierzy, że mezalians usadowi go z powrotem na tronie premiera. Czyli ostatecznie ocipiał od wdychania oparów własnej urojonej wielkości, którą produkuje seryjnie przed obiektywem smartfona, by potem zaśmiecać nią YouTuba'a. Przypomina to sytuację, w której bankrut bez grosza próbuje licytować pałac, płacąc guzikami od starego płaszcza.

Kaczyński, choć oszczędził Mateuszowi tej ostatniej złośliwości, punktował go ponoć z tą swoją charakterystyczną lodowatą pogardą, że niegdysiejsza opozycja z czasów rządów PiS-u wygląda przy Prezesie jak kółko różańcowe przy rzeźniku.

Nagrania z Nowogrodzkiej oczywiście nie mamy, bo nikt nie odważyłby się nagrywać Prezesa smartfonem. Musimy więc polegać na relacji ustnej, która jest tak podejrzanie dokładna, jakbyśmy to nagranie jednak mieli.

Kaczyński miał rzec: – Panie premierze, ja chciałbym, żebyśmy na chwilę zeszli z poziomu emocji i wrócili do faktów, bo polityka, wbrew temu, co się czasem wydaje, nie polega na wygłaszaniu deklaracji, tylko na ponoszeniu odpowiedzialności za ich skutki.

I dodał ponoć, że projekt ElectroMobility Poland miał być symbolem nowoczesności, a „stał się symbolem, mówiąc oględnie, nadmiernej wiary w to, że wystarczy coś ogłosić, aby to zaczęło istnieć". Odnotował, że wydano setki milionów złotych i jak dotąd nie powstało nic, co można by uznać za realny produkt.

– Ależ panie prezesie! – zaoponował podobno Mateusz, przybierając ton młodego zdolnego z banku. – To był hub innowacyjny. Myśmy budowali ekosystem, synergię między nauką a przemysłem 4.0.

Kaczyński (jak słyszymy) biczował dalej: – Jeżeli chodzi o środki z Unii Europejskiej[1], to ja przypominam, że polityka europejska wymaga pewnej dyscypliny i zdolności do osiągania celów, a nie tylko składania zapewnień. Mówiono o ogromnych kwotach, o planach, o przełomie, a w praktyce mieliśmy do czynienia z przedłużającym się impasem, który, i to trzeba powiedzieć jasno, obciążał państwo, a nie tylko pana rząd.

– Bruksela nas oszukała, panie prezesie! – zdaniem naszym informatorów zapłakał Mateusz.

– Pułapką, panie premierze, była pańska wiara, że ich pan ogra na ich własnym boisku – uciął ponoć Kaczyński. Potem, jak twierdzą nasi informatorzy, pouczył swego byłego ulubieńca, że „fundusze pozabudżetowe[2], różnego rodzaju rozwiązania nadzwyczajne, mają sens w sytuacjach nadzwyczajnych, ale nie mogą stawać się zasadą funkcjonowania państwa, bo wtedy tracimy kontrolę nad finansami publicznymi. A państwo musi być przewidywalne, także dla własnych obywateli. Polski Ład był projektem, który miał uprościć system podatkowy, a w praktyce wprowadził zamieszanie, które trzeba było bardzo szybko korygować. I to były decyzje trudne, także personalne[3], ale konieczne, bo odpowiedzialność polityczna nie jest pojęciem abstrakcyjnym"…

– To był błąd wdrożeniowy, czysto techniczny! – zakrzyknął ponoć Morawiecki. – Aparat urzędniczy nie udźwignął dynamiki zmian. Gdybyśmy mieli więcej czasu na komunikację korzyści dla klasy średniej...

Prezes jednak nie dał się zbić z tropu: – Jeżeli chodzi o okres pandemii, to był czas wyjątkowy i wymagał decyzji podejmowanych pod presją, natomiast również w takich warunkach obowiązują pewne standardy, których przekraczać nie wolno, bo później państwo traci wiarygodność.

I – jak nam donoszą – dobił Morawieckiego tekstem o „sprawach osobistych, majątkowych, różnego rodzaju decyzjach, które może są zgodne z literą prawa, ale muszą być także zgodne z pewnym elementarnym poczuciem odpowiedzialności wobec opinii publicznej". Potem podobno było coś jeszcze o tym, że „polityk na tym poziomie nie działa wyłącznie w ramach przepisów: bo „działa także w ramach zaufania".

– Ja przypominam – tu, jak słyszymy, Kaczyński podniósł głos – że kiedy obejmowałem funkcję wicepremiera w pana rządzie, to nie było to działanie przypadkowe, tylko decyzja podyktowana koniecznością ustabilizowania sytuacji państwa w bardzo trudnym momencie. I to się udało niezależnie od tego, jakie dziś buduje się narracje. Dlatego proszę zrozumieć jedną rzecz: w polityce nie wystarczy chcieć wrócić. Trzeba jeszcze przekonać, że ma się do tego podstawy. A z tym, panie premierze, jest, delikatnie mówiąc, pewien problem.

Zdaniem naocznych świadków tej politycznej rzezi Mateuszowi od samego słuchania pękły okulary, a Prezesowi ciśnienie skoczyło wyżej niż po najbardziej nieudanej miesięcznicy. Panowie rozstali się z minami tak minorowymi, jakby właśnie wracali z własnej stypy, na którą zapomniano przynieść wódki.

16 proc. halucynacji

Spróbujmy zatem jednak oszacować realne możliwości tej nowej bankiersko-chłopskiej hybrydy, której jeszcze nie ma, a która w sondażach już rzekomo puchnie do 16 proc. Nazwalibyśmy to, powiedzmy, yhm… Bankowo-Rolnicza Jedność Narodowa (BRJN). Oczywiście zasadniczym powodem jej poczęcia nie jest żadne realne zapotrzebowanie społeczne, lecz czysta rozpacz Morawieckiego po utraconej świetności. Analizując sprawę na zimno: Mateusz tworzący własną frakcję po tych wszystkich swoich „sukcesach" to widok równie wiarygodny jak pilot, który po spektakularnej katastrofie lotniczej ogłasza, że właśnie zakłada własne linie lotnicze i zaprasza na pokład.

Problem w tym, że Morawiecki nie ma własnego zaplecza, struktur ani elektoratu, który byłby mu wierny. W ostatnich wyborach uciułał 117 064 głosy, co w sam raz wystarczyłoby, żeby zostać prezydentem Krakowa i użerać się z gołębiami na Rynku, ale na zbawianie Polski to trochę mało. Nic dziwnego, że podreptał pod właściwy adres: do prezesa PSL, partii uniwersalnej i nieśmiertelnej. Zmieniają się ustroje, rządy, epoki, wymierają gatunki, a Polskie Stronnictwo Ludowe trwa przyklejone do każdego żłobu z wdziękiem pijawki.

Kosiniak-Kamysz posiada tę cudowną, gumową zdolność wszystkich chłopskich przywódców – od Waldemara Pawlaka poczynając – że potrafi wejść w absolutnie każdy układ polityczny i wyjść z niego z miną człowieka, który właśnie z narażeniem życia uratował kraj przed ostateczną zgubą.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Władysław ma też swoje ambicje, w końcu kandydował na prezydenta. Te jego niespełna pół miliona głosów (2020) to wynik w sam raz, by zaimponować na dożynkach w powiecie tarnowskim i poczuć się lwem salonowym w małopolskich gminach. W skali państwa to jednak zaledwie populacja Gdańska, która w morzu milionów wyborców wygląda jak samotna kępa koniczyny na betonie. Niby zielona, niby żyje, ale nikt na niej domu nie zbuduje. Teraz ci dwaj – bankier od slajdów i lekarz od politycznej reanimacji – chcą budować nową siłę.

Bóg, którego nie ma, a jednak kpi

Choć generalnie życzymy Morawieckiemu jak najgorzej, to w tym jednym szczególnym przypadku powinniśmy mu kibicować z całego serca. Spójrzmy na to bez złudzeń: wyrastają nam dwa równoległe projekty, które będą się okładać po pyskach o ten sam kawał wyborczego mięsa – 16 proc. to przecież nie są resztki. Jeden budowany jest na psiej lojalności wobec Prezesa (pod batutą Czarnka, specjalisty od bicia dzieci i cnót niewieścich), a drugi – wznoszony na czystym urazie i ambicjach odtrąconych kochanków władzy, czyli Władka i Pinokia.

Gdyby ten układ się utrzymał i obie formacje uciułały te swoje 16–18 proc., doczekalibyśmy się politycznego raju: premierem nie zostałby ani Czarnek, ani Morawiecki, ani tym bardziej Kosiniak-Kamysz. Stałoby się to, na co każdy rozsądny człowiek czeka od lat – problem rozwiązałby się sam, pożerając własne ogony.

Oczywiście w krzakach czają się jeszcze Braun z Mentzenem, którzy mogliby spróbować ubić jakiś interes z tą naszą hipotetyczną Bankowo-Rolniczą Jednością Narodową, ale dla PiS-u oznaczałoby to definitywny koniec, polityczną utylizację i pójście w rozsypkę.

Patrząc na tę perspektywę, nachodzi mnie jedna przerażająca myśl: a nuż ten cały Bóg jednak istnieje i ma wyjątkowo wisielcze poczucie humoru?

ROBERT JARUGA

Przypisy (czyli to, czego nie zmieścił dialog):

[1] – Prezesowi majaczyło zapewne te mityczne 700 mld zł z KPO. W praktyce przez długi czas z tej góry szmalu widzieliśmy dokładnie nic, jeśli nie liczyć tysięcy bilboardów, z których morda Morawieckiego szczerzyła się do nas na tle kwoty w istocie nierealnej.

[2] – Kaczyński mówił zapewne o tych 300–350 mld zł, które Adam Glapiński wraz z BGK wyprowadzili poza oficjalny budżet państwa, uprawiając kreatywną księgowość na skalę dotychczas niespotykaną. Adam miał za te numery stanąć przed Trybunałem Stanu, ale w Polsce pamięć polityczna jest krótsza niż rozum przeciętnego wyborcy, więc sprawa zdechła.

[3] – tu zapewne mowa o Tadeuszu Kościńskim, który odegrał rolę kozła ofiarnego. To on, ówczesny minister finansów, został wypierdolony na zbity pysk, gdy tylko suweren zorientował się, że Polski Ład poza licznymi wadami merytorycznymi ma fundamentalną. Ustawa nie została napisana po polsku. To znaczy nie miała nic wspólnego z zasadami polskiej logiki, składni, a już na pewno nie z rygorem prawnym. Bełkot wariata, który po pijaku dorwał się do maszyny do pisania.

[4] – tu zapewne mowa o całym bukiecie „sukcesów" rządu: od słynnych maseczek z certyfikatem z gumki od majtek za dziesiątki milionów złotych przez respiratory od handlarza bronią w cenie trzykrotnie przebijającej zdrowy rozsądek aż po kontrakt z Pfizerem. Ten ostatni wynegocjowano z taką maestrią, że dziś, zamiast leczyć ludzi, zapłacimy gigantyczne kary – kwoty równe kosztom wybudowania ośmiu nowoczesnych szpitali. To klasyczny przykład morawieckiej gospodarności: kupić drogo, nie dostać nic, a na koniec jeszcze dopłacić za to, że nas zrobili w konia.

[5] – tu mowa o bezprzykładnym tupecie premiera rządu rzekomo europejskiego państwa. Morawiecki, byle tylko uniknąć ustawowego obowiązku spowiadania się obywatelom z tego, ile nakradł – przepraszam, ile zarobił w banku i na gruntach kościelnych – przepisał lwią część majątku na żonę. Dzięki temu z jego oficjalnego oświadczenia majątkowego wynika, że jest niemalże nędzarzem. To klasyczna szkoła cwaniactwa: mąż udaje biedaka, a żona trzyma klucze do skarbca, żeby suwerenowi nie pękły oczy z zazdrości.

MÓŻDŻEK TYGODNIA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Bóg, w którego wierzył Przemysław Wipler, był sędzią sprawiedliwym: za dobre wynagradzał, a za złe karał. Od czasu do czasu dawał też znaki potwierdzające, że Wipler idzie przez życie właściwą ścieżką – czy to należąc do Konfederacji, czy to szturchając nielegalnego imigranta, czy spluwając na aktywistę LGBT.

Ten tydzień zaczął się od złego znaku: wydało się, że fundacja Wiplera dostała od Zondacrypto hajs. Niewielki – 70 tysi euro – ale jednak się wydało i Wipler musiał straszyć w mediach, że oszczerców pozwie do sądu, chociaż testosteron produkowany przez jądra podpowiadał, żeby wyzwać ich na ubitą ziemię.

– Boże – mruknął Wipler rozczarowany. – Naprawdę.

Potem Bóg zesłał drugi zły znak. Wipler pojechał do Budapesztu popierać Orbána, bo Orbán był mu bratem w szturchaniu imigrantów i pluciu na hermafrodytów, pedałów i innych cudaków. Bóg sprawił, że Orbán wybory przepierdolił do cna i ze szczętem.

– Naprawdę – potwierdził Bóg, gdy Wipler spojrzał w niebo z wyrzutem.

Jeśli dostanę trzeci zły znak, to będę musiał przemyśleć decyzje, które podejmuję – pomyślał Wipler podczas porannego joggingu, już w Warszawie.

I wówczas na niebie pojawił się ptak. Zanurkował i niczym bombowiec zrzucił cały zapas guana – wprost na Wiplerowy dresik Adidasa. Ze względu na masę ptasiego gówna można było przypuszczać, że albo po polskim niebie zaczęły latać albatrosy wędrowne, albo Bóg wyjątkowo uwziął się na Wiplera. Albo jedno i drugie.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl 8f0a9fc9f0

ETYKA BEZBOŻNA

O co tak naprawdę chodzi w awanturze o edukację zdrowotną

Ala ma kutasa

Trochę obsceniczny ten tytuł, ale nie bez kozery. W internecie pokazuje się ostatnio przezabawny rysunek satyryczny – jeden z tych, co to gdy je widzisz, wstyd ci, że sam nie wpadłeś na coś tak oczywistego. Oto na tablicy szkolnej wykaligrafowano owe tytułowe słowa, przy czym to drugie na tęczowo. Rzecz jasna to komentarz do kolejnej odsłony awantury o edukację zdrowotną w szkole. Głupiej i kołtuńskiej. Cóż, głupia, nie głupia, jest to fenomen życia społecznego, więc musimy go komentować.

A mam na to tym większą ochotę, że w tym roku trafiły mi się urocze zajęcia ze studentami medycyny poświęcone miłości i seksowi. Czyli taka edukacja seksualna, tylko kilka lat spóźniona. Prawdziwa frajda patrzeć na dwudziestkę młodych ludzi z żarem w oczach słuchających, jak stary satyr prawi o tym, co dla nich naprawdę najważniejsze. Od literatury przez psychologię i filozofię do seksuologii. Sam bym posłuchał!

Niestety, ogół młodzieży nie ma tak dobrze jak moi „lekarze". A przecież skazywanie dziecka na osamotnienie i porzucanie go w jego rozwoju erotycznym (psychoseksualnym) jest głupie i szkodliwe. Państwo zaś, które abdykuje z tej roli, zasłaniając się rodzicami i ich świętym prawem do wychowania dzieci po swojemu, jest obłudne. Rodzice sami nie wiedzą co i jak, a nawet jak wiedzą, to trudno im o tym z dziećmi rozmawiać. Przecież wszyscy wiemy, jak to wygląda. Liczyć też rodzice umieją, ale chyba nikt z tego powodu nie porucza im nauczania swoich dzieci matematyki. Mówić umieją, ale nie zastąpią nauczycieli polskiego.

Oczywiście dzięki dekadom walki o prawa LGBT zmieniło się bardzo wiele. Ignorancja seksualna nie jest już tak wielka jak kiedyś, gdy na podwórkach dyskutowaliśmy na temat ciąży z basenu albo „przez połknięcie", lecz zaniedbanie emocjonalne nadal jest głębokie. Albowiem wciąż przecież „te sprawy" są kłopotem i nie wystarcza na to bezpruderyjny nastrój, który faktycznie zapanował w sferze publicznej w ostatnich dekadach. Bo nie chodzi wcale o wstyd i wyzbywanie się go. „Te sprawy" są trudne i delikatne z wielu powodów, a tępa pruderia jest jedynie nieporadną reakcją na sytuację, która przerosła naszą społeczną i rodzinną kulturę.

Gdybyż to było takie proste – wyzbyć się, tak po lekarsku, zbędnej wstydliwości, i zabrać się do rzeczy naukowo! Nie, wtedy robi się głupio, śmiesznie i w dwójnasób krępująco. Bo tu nie chodzi przecież tylko o wiedzę „skąd się biorą dzieci", lecz o miłość, cielesność, pożądanie, seks, ciążę, posiadanie dzieci, zakładanie rodziny. O całe życie! I tak jak nie da się tego sprowadzić do fizjologii, nie wystarczy również podporządkowanie wszystkiego kwestii życia rodzinnego. Człowiek kocha i pożąda wiele lat wcześniej, niż staje się ojcem lub matką i w ogóle jest do pełnienia tych ról wystarczająco dorosły. A zresztą małżeństwo i rodzinność ani nie likwidują problemów emocjonalnych i seksualnych, ani nie gwarantują dojrzałości. Bez pomocy mądrych przewodników w latach młodzieńczych można zostać erotycznym idiotą na całe życie. I jeśli dziś, w XXI w., ktoś ryzykuje los swojego dziecka, odmawiając mu wiedzy i wsparcia w rozwoju psychoseksualnym, to po prostu je krzywdzi. Jako społeczeństwo mamy po prostu wobec dzieci również i taki moralny obowiązek: wyposażyć je, jak umiemy, na długą i wyboistą drogę miłości.

Jednakże z obowiązkami wobec dzieci jest tak, że w ramach ogólnego szacunku dla wolności i prywatności państwo unika kontrolowania obywateli w tych kwestiach, nie tylko utrzymując szeroki zakres władzy rodzicielskiej, lecz ponadto ograniczając jej wykonywanie tylko w niewielu drastycznych przypadkach, w których decyduje się na ingerencję.



Rys. WIDGET

Tę ogólną tendencję rozciąga się na sprawy edukacji i wychowania, i to do tego stopnia, że

w razie jakichś trudności natury obyczajowej i światopoglądowej pozostawia się wolną rękę rodzicom. Rodzice mogą więc wygadywać, co chcą. Mogą uczyć dzieci homofobii, pogardy dla osób transpłciowych, mizoginii albo odwrotnie – zachęcać do rozwiązłości i traktowania seksu jak rozrywki.

Pytanie brzmi: czy w imię wolności obywatelskiej możemy – jako społeczeństwo i państwo – pozwalać na to, żeby dzieci pozbawione były edukacji w zakresie bardzo ważnych życiowo spraw, a nawet narażone na słuchanie głupstw wygadywanych przez rodziców? Przecież w sprawach związanych z naukami przyrodniczymi i humanistycznymi jakoś nie stosujemy takiej praktyki.

Odpowiedź nie jest prosta, bo wolność rodzicielska, która w wielu przypadkach wchodzi w kolizję nie tylko z dobrem dziecka, ale i z jego konstytucyjnymi prawami, jest ważną i prawnie chronioną wartością. Podobnie jak prywatność, której aspektem jest to, że nikt nas nie rozlicza z tego, co wygadujemy w czterech ścianach – również do dzieci.

Jak w każdej sytuacji konfliktu wartości i praw, niezbędne jest wypracowanie pewnego kompromisu. Rodzice konserwatywni nie chcieliby, aby ich dzieci epatowano szczegółowymi treściami dotyczącymi seksu i seksualności. Rodzice postępowi nie życzą sobie, aby ich dzieci w jakikolwiek sposób nastawiane były niechętnie do osób LGBT bądź nauczane o wyższości tradycyjnego modelu rodziny nad innymi. Na szczęście to da się zrobić. Jeśli wychowanie seksualne skupione będzie na wartościach, których nikt nie podważa, a więc na miłości, odpowiedzialności, bezpieczeństwie zdrowotnym i emocjonalnym, to wszyscy albo prawie wszyscy będą mogli to zaakceptować.

I prawdę mówiąc, wszyscy ludzie dobrej woli tak te sprawy widzą, w całej zaś awanturze chodzi o coś zupełnie innego. I powiedzmy sobie jasno o co: o to, żeby zagwarantować, że w sprawach seksu świecki przekaz szkolny będzie zbieżny z kościelnym albo nie będzie go wcale. No, ale jeśli ktoś tak stawia sprawę, to odpowiedź może być tylko jedna: wal się!

JAN HARTMAN

WIEŚCI GMINNE i INNE

Sieć Action zakazała sprzedaży noży gówniarzom poniżej 18. roku życia. Od teraz, żeby kupić nóż do obierania ziemniaków, trzeba legitymować się dowodem osobistym. To urocze: 17-latek w Polsce może już legalnie kopulować, nawet przygotowywać się do oddania życia za ojczyznę, ale nie wolno mu kupić noża do chleba, bo korporacja uznała, że jest na to zbyt niedorozwinięty. Czekam z niecierpliwością, aż Action pójdzie za ciosem i zakaże sprzedaży sznurka do prania, bo przecież można się na nim powiesić, albo wałków do ciasta, które w polskiej tradycji są przecież narzędziem brutalnej przemocy domowej.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

W Otwocku 42-letni specjalista poszukiwany listem gończym za narkotyki i obijanie bliźnich, zbudował sobie apartament pod sufitem. Jego partnerka z lojalnością godną lepszej sprawy zapewniała funkcjonariuszy, że ukochanego nie ma w domu. Policjanci jednak, zamiast uwierzyć na słowo damie w opałach, zaczęli zaglądać w dziury, w które zaglądać nie powinni. I znaleźli. W Polsce nawet jak się człowiek nad poziom podłogi uniesie, to i tak go za nogi ściągną do parteru.

Natomiast policjanci z komendy w Łomży przyszli po 46-latka również poszukiwanego listem gończym. Partnerka zapewniała, że wyjechał za granicę, ale z łazienki dochodziły podejrzane odgłosy. Funkcjonariusze zajrzeli do środka i zobaczyli stopę wystającą znad sedesu. Po chwili było jasne: mężczyzna ukrył się w zabudowie spłuczki. Delikwent trafił do aresztu. Ma do odsiedzenia cztery miesiące za jazdę mimo cofniętych uprawnień. Ukrycie się w zabudowie kibla, to doskonała metafora losu przeciętnego Polaka: siedzisz po uszy w gównie, udajesz przed światem, że jesteś w Londynie, a i tak wystaje ci noga, za którą system wyciągnie cię prosto na pryczę.

Krzysztof Kania ze Strzały pod Siedlcami to fenomen biologiczny. Przez 46 lat oddał 52 litry krwi. Objętość sporego akwarium. Zaczął jako 19-latek, a skończył w wieku 65 lat, bo polskie prawo uznaje, że krew emeryta jest już zbyt mało entuzjastyczna, by krążyć w młodszych żyłach. Kania ma grupę A Rh–, co czyniło go kimś w rodzaju chodzącej stacji benzynowej dla ofiar wypadków. Statystycznie wyciągnął z grobu 350 osób. Biorąc pod uwagę przekrój naszego społeczeństwa, musiał trafić się przynajmniej jeden złodziej, dwóch pijaków i cała masa wyborców partii, których nazw z litości nie wymienię. Ale Kania nie wybrzydzał – lał w każdego.

W lesie pod Częstochową spacerowicz natknął się na radziecki granat POMZ-2. To konstrukcja prosta – żeliwny cylinder, który po wybuchu zamienia się w grad odłamków. Zelastwo leżało w trawie przez ponad 85 lat. Przez ten czas przez Częstochowę przemaszerowały miliony pielgrzymów. Szli w tych swoich gwiaździstych podchodach, boso, o chlebie i wodzie, śpiewając pieśni i prąc na Jasną Górę. Paulini rzekliby zapewne: „cud, że nikt nie zginął", ale, co bardziej prawdopodobne, radziecka technologia okazała się cierpliwsza od polskiej pobożności. Saperzy teren odgrodzili, złom zabrali i zabawa się skończyła. Cudów nie ma, jest tylko źle zabezpieczona przeszłość.

Sąd w Częstochowie pochylił się z troską nad losem dwóch królików miniaturowych. 46-letni Jerzy S., uzbrojony w pałkę teleskopową i solidną dawkę wódy, dokonał egzekucji na tych puszystych stworzeniach. Potem, jak na prawdziwego estetę przystało, wywalił zwłoki do śmietnika. Cztery miesiące bezwzględnej odsiadki. Do tego 6 tys. zł nawiązki i pięcioletni szlaban na posiadanie czegokolwiek, co oddycha. Sprawa obnaża naszą uroczą katolicką hipokryzję rzeźną. W Polsce zabijanie królików, świń czy krów jest czynnością całkowicie legalną, a nawet pożądaną, o ile kończy się pasztetem na niedzielnym stole. Różnica między Jerzym S. a szanowanym hodowcą polega jedynie na technologii i marketingu. Gdyby Jerzy był trzeźwym rzeźnikiem i podciął królikom gardła zgodnie z unijną dyrektywą, nikt by go nie ciągał po sądach.

Ośmiu aktywistów Greenpeace'u wtargnęło na teren kopalni Szczygłowice należącej do Jastrzębskiej Spółki Węglowej. Wspięli się na ponad 50-metrową wieżę szybową. Rozwiesili transparent: „Stąd wycieka groźny metan". Chodziło im o metan naturalnie występujący w pokładach węgla, który uwalnia się podczas wydobycia i musi być odprowadzany ze względów bezpieczeństwa. To trochę tak, jakby protestować przeciwko wybuchom wulkanów, pożarom lasów wywołanym uderzeniem pioruna albo parowaniu wody z oceanu. Na miejscu interweniowała policja. Kopalnia uznała akcję za nielegalną i niebezpieczną.

Funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego Policji oraz Straży Granicznej zlikwidowali nielegalne laboratorium narkotyków w stadninie koni w powiecie będzińskim. Na gorącym uczynku zatrzymano dwóch mężczyzn. Zabezpieczono ponad 44 kg Alfa-PVP (narkotyk zombie) o wartości 3,5 mln zł oraz tysiące litrów substancji do produkcji. 44 kg – z tego można przygotować nawet 500 tys. porcji. Całe miasto wielkości Poznania z niemowlętami włącznie mogłoby odlecieć. Końska dawka.

W Przasnyszu dwaj recydywiści Mateusz P. i Sebastian Ś. zabawiali się w obrońców czystości narodu przy pomocy maczety. Weszli na prywatną posesję i pocięli dwóch obywateli Ukrainy. Ofiary mają rany cięte dłoni i palców. Przed śmiercią uratowała ich ucieczka do budynku. Mateusz P. przyznał, że powodem ataku było pochodzenie pokrzywdzonych. Sebastian Ś. po zatrzymaniu zasłonił się amnezją alkoholową. Pamiętał, że bił i używał maczety, ale szczegółów już nie, bo był pijany. Obaj siedzą. Grozi im do 12 lat. Uff, tyle razy było mówione: „Wołynia nie pomścimy", „nie pomścimy" – ale kto nas słucha?

Spalarnia Port Czystej Energii w Gdańsku, inwestycja komunalna, podsumowała


Rys. MIROSŁAW HAJNOS

pierwszy rok działalności. Instalacja przetworzyła 116 tys. ton odpadów, produkując ok. 80 tys. MWh energii elektrycznej oraz 492 tys. GJ ciepła. Obsługuje odpady z 40 gmin. Budowa trwała cztery lata. Kosztowała 813 mln zł. 271 mln pochodziło z funduszy UE. Policzmy to po chłopsku. Przy cenie ok. 400 zł za 1 MWh sprzedaż prądu daje ok. 32 mln rocznie. Ciepło to kolejne 4–7 mln zł. Największe pieniądze są jednak w odpadach: przy stawce ok. 600 zł za tonę daje to nawet 70 mln. Łącznie przychody spalarni sięgają więc ponad 100 mln zł rocznie. Kiedy inwestycja się zwróci? Teoretycznie za ok. osiem lat. W praktyce, po uwzględnieniu kosztów, raczej bliżej 20.

Prezydent Krakowa Aleksander Miszalski ogłosił likwidację premii dla zarządów spółek miejskich oraz obniżkę wynagrodzeń rad nadzorczych o 20 proc. Decyzja ma być elementem poprawy sytuacji finansowej miasta, które mierzy się z deficytem sięgającym 730 mln zł w 2025 r. Nam się jednak wydaje, że można pójść o krok dalej, wzorując się na rozwiązaniach znanych z Francji między XVI a XVIII w., gdzie urzędy po prostu sprzedawano. Skoro trzeba oszczędzać, może miejsca w zarządach i radach nadzorczych należałoby wystawić na sprzedaż, a chętnym pozwolić pracować za darmo? Myślicie, że nie byłoby zainteresowanych? Możecie się zdziwić.

Szpital Powiatowy w Lublińcu przestał udawać, że służy do leczenia. Przeszedł w tryb oszczędnościowy. Zadłużenie przekroczyło 70 mln zł, więc dyrekcja uznała, że najtaniej będzie pozamykać to, co najpotrzebniejsze: OIOM, ginekologię i izbę przyjęć. Rachunek ekonomiczny jest brutalny i logiczny. Z punktu widzenia budżetu państwa pacjent martwy jest znacznie tańszy od pacjenta leczonego. Trup nie generuje kolejek, nie domaga się nowoczesnych procedur ani nie pisze skarg do rzecznika praw pacjenta. Niemal 80-tysięczny powiat lubliniecki musi więc umrzeć.

Przemysław Czarnek obiecuje budowę elektrowni atomowej w Koninie. W samym Koninie – trzeba przyznać – jeszcze nikt atomu nie obiecywał, więc mamy pewien powiew świeżości. Nie chcemy się jednak czepiać szczegółów, bo historia polskiego atomu to raczej katalog obietnic niż inwestycji. Dość powiedzieć, że elektrownię jądrową lokowano już w Żarnowcu, Klempiczu, Lubiatowie-Kopalinie, Bełchatowie, Pątnowie. W sierpniu tego roku będziemy mogli ze stosowną powagą – i jeszcze większym doświadczeniem – świętować 55. rocznicę podjęcia decyzji o budowie elektrowni jądrowej w Polsce. Jak na inwestycję strategiczną, tempo mamy wręcz radioaktywne, tylko w drugą stronę.

Ministerstwo Finansów dumnie ogłasza: Andrzej Domański podpisał porozumienie z Leonardo PZL Świdnik. Chodzi o śmigłowce AW149 i coś, co nazywają bezpieczeństwem podatkowym. Brzmi to jak termin z zakresu ochrony świadków koronnych i w sumie tym właśnie jest. To pierwsze takie porozumienie w Polsce i zarazem najbardziej bezczelne wyznanie faktu, że nasz system fiskalny jest do dupy. Ministerstwo wprost mówi Włochom: „Słuchajcie, u nas prawo zmienia się częściej niż nastroje wariata, a urzędnicy skarbowi to drapieżniki, ale was nie ruszymy. Choćbyśmy reszcie Polaków dowalili 50 proc. podatku i VAT na poziomie marzeń narkomana, wy macie immunitet". Mało tego – dorzucamy im jeszcze 26,6 mln zł grantu. To jest właśnie ta słynna polska gościnność: własnych obywateli golić do gołej skóry, a obcym budować szklane domy wolne od podatkowego syfu. No kurwa mać!

RJ

PS Informacje pochodzą z prasy prowincjonalnej z całej Polski, więc – jak to zwykle bywa – mogą być nieco odchudzone z prawdy. My tylko przekazujemy, co przeczytaliśmy. Jeśli coś się nie zgadza, prosimy mieć pretensje nie do nas, tylko do źródeł. W żadnym wypadku nie należy wyciągać z tego wniosków ogólnych ani – broń Boże – prawnych. My się na tym nie znamy, nie orientujemy się i za nic nie odpowiadamy. Jeśli ktoś chce analizować, niech analizuje sam albo najlepiej zapyta kogoś kompetentnego.

eprasa.pl 8f0a9fc9f0

Cieśnina bezmyślności

Jak to jest naprawdę z tym ETS?



ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Najzabawniejsze w polskiej debacie energetycznej jest to, że ludzie odpowiedzialni za utrwalanie naszego uzależnienia od paliw kopalnych odgrywają dziś rolę obrońców suwerenności, zbrojąc się po zęby. Ci sami politycy, którzy od końca PRL nie zbudowali atomu, blokowali wiatraki, traktowali prosumentów (tych, którzy jednocześnie produkują i konsumują energię) jak kłopotliwy margines, a pieniądze z ETS i podatku węglowego jak budżetowy łup – teraz opowiadają, że największym zagrożeniem jest Bruksela z jej „klimatyzmem", Europejskim Zielonym Ładem i Pakietem „Fit for 55" albo jakąś ideologią.

Nie.

Największym zagrożeniem jest stara tępa zależność od węglowodorów – i nie tylko węgla, ale przede wszystkim ropy i gazu. Taka, która co kilka lat wraca do nas pod nową nazwą, ale zawsze w tej samej postaci: kryzysu cen, politycznego szantażu i narodowego zadęcia, które ma zamaskować kompletny brak strategii.

Ormuz, czyli nowa smycz

A sprawa jest prosta: w zasobach Unii Europejskiej dramatycznie brakuje ropy i gazu. Dlatego, od kiedy wiedza ludzka umożliwiła pozyskiwanie energii ze źródeł odnawialnych, Europa powinna stawać się światowym liderem produkcji tych technologii i ich wykorzystania. Tymczasem my nadal brniemy śladem amerykańskiego modelu neoliberalnej globalizacji: wielki świat, wolny handel nie pozwoli nam na niedostatek. Konsumujemy, żyjemy!

Nawet teraz, w kolejnym kryzysie, sądzimy, że wystarczy zmienić sprzedawcę. Mniej Rosji, więcej Kataru, więcej LNG, trochę USA, coś z Norwegii, coś z Zatoki – i po sprawie. To tak, jakby alkoholik ogłaszał sukces terapii, bo odstawił wódkę i przerzucił się na whisky. Nadal jesteśmy zakładnikami państw, których stabilność, interesy i polityczne odruchy nie muszą mieć nic wspólnego z europejskim i polskim bezpieczeństwem.

W Polsce to uzależnienie bywa jeszcze pudrowane infantylną egzaltacją wobec Ameryki. Prezydent Andrzej Duda mówił w lutym 2025 r. o Donaldzie Trumpie: „dzięki niemu mamy dzisiaj po części naszą suwerenność energetyczną, bo to jest także gaz LNG, który kupujemy ze Stanów Zjednoczonych"… To zdanie jest modelem polskiej choroby strategicznej: mylenia zmiany dostawcy z realną niezależnością. Bo w tej sprawie PiS i liberalne centrum różnią się głównie dekoracją: jedni wrzeszczeli o „dyktacie Brukseli", drudzy szeptali o „racjonalnym dialogu" – ale jedni i drudzy z równą konsekwencją zamieniali transformację w wieloletni festiwal uników, analiz i politycznego kunktatorstwa.

Suwerenność energetyczna nie polega na tym, że rosyjski gaz zastępuje się amerykańskim, katarskim albo jakimkolwiek innym gazem. Polega na tym, że kraj potrzebuje coraz mniej gazu i ropy, bo ma atom, wiatraki, fotowoltaikę, biomasę, odwierty termalne, magazyny energii i mądrą sieć. Wszystko inne jest tylko zmianą logo na cysternie.

A kiedy przychodzi kryzys – przecież nie tak bardzo niespodziewana rzeczywistość – i z hukiem wybija z głowy te wszystkie opowieści o dywersyfikacji, jest zdumienie i panika. Cieśnina Ormuz pozostaje jednym z najważniejszych energetycznych gardeł świata. Przez katarskie centrum przemysłowe Ras Laffan przechodzą interesy, od których Europa też zdążyła się uzależnić. Wystarczy więc wojna, kilka ataków, trochę chaosu na morzu i natychmiast okazuje się, ile warte były te wszystkie triumfalne opowieści o bezpiecznej globalizacji i dobroczynnej regulacyjnej sile rynku. Europa kosztem dobrostanu milionów swych obywateli zrzuciła rosyjski łańcuch z szyi po to, by z całkiem poważną miną przypiąć sobie nowy – do USA, Ormuzu i kilku instalacji nad Zatoką. Genialne. Geopolityczny majstersztyk na poziomie walenia głową w ścianę, ale z poczuciem moralnej wyższości.

Haracz, który przejedliśmy

W tym wszystkim szczególnie komicznie brzmią tyrady o obciążeniu polskiej gospodarki kosztami emisji CO_2 w systemie ETS. Zbigniew Ziobro grzmiał w 2022 r., że „miliardy unijnego haraczu potęgują drożyznę w Polsce". Sebastian Kaleta jeszcze w marcu 2026 r. mówił o ETS jako o „unijnym haraczu", który płacą Polacy. Tylko że właśnie ten rzekomy „haracz" zasilił polski budżet gigantycznymi pieniędzmi. Po co? No właśnie po to, aby państwo miało szansę uzyskać energetyczną suwerenność.

Najwyższa Izba Kontroli ustaliła, że w latach 2013–2023 Polska uzyskała z tytułu ETS blisko 94 mld zł, z czego ponad 84 mld zł w latach 2019–2023. I teraz najlepsze: NIK oceniła system gospodarowania tymi środkami negatywnie, bo dla niemal 90 proc. pieniędzy nie da się jednoznacznie ustalić ich faktycznego wykorzystania.

63 proc. przychodów z ETS wrzucono do wspólnego worka budżetu, 25 proc. do funduszy pozabudżetowych bez wyodrębnionej ewidencji, a tylko 1,3 proc. (napiszę jeszcze raz dużymi literami: JEDEN i TRZY DZIESIĄTE procent!) trafiło wprost do NFOŚiGW na cele związane z redukcją emisji.

Nie Bruksela więc skonsumowała tę kasę. Polskie państwo potraktowało ją jak łup, a potem zaczęło opowiadać obywatelom, że to Unia ich okrada. To już nie hipokryzja. To kabaret fiskalny.

Podobnie wygląda sprawa z wiatrakami. Jarosław Kaczyński mówił o Zielonym Ładzie jako o „szaleństwie klimatycznym". Janusz Kowalski straszył, że przez wiatraki „giną i uciekają ptaki i nietoperze", a same turbiny mają „wątpliwą neutralność środowiskową" i „szkodzą zdrowiu ludzi". Nawet gdyby ta antywiatrakowa histeria zawierała ziarno prawdy, jej realnym skutkiem jest blokowanie jednego z najtańszych i najszybszych sposobów ograniczania zużycia gazu i węgla. Polska konserwa przez lata zachowywała się tak, jakby turbina wiatrowa była większym zagrożeniem niż uzależnienie państwa od importowanych paliw i od światowych szlaków, które można sparaliżować rakietą, dronem albo kaprysem szalonego satrapy z demencją.

Atom w PowerPoincie, Chiny w rzeczywistości

A przecież równie groteskowa jest polska opowieść o atomie. Mówimy o nim od dekad tonem kapłanów zbawienia, po czym kończymy na analizach, prezentacjach i apanażach dla ludzi od „przygotowania procesu". W odpowiedzi na jedną z interpelacji sejmowych podano, że wydatki PGE EJ1 na projekt pierwszej polskiej elektrowni jądrowej w latach 2009–2018 wyniosły 447 mln zł. Prawie pół miliarda wydane na przygotowania bez wbicia łopaty. Trzeba przyznać: niewiele państw potrafi aż tak elegancko zamieniać strategiczną konieczność w wieloletni program poprawy dobrostanu politycznych nominatów.

A tymczasem Chiny, katastrofalnie biedne w latach 90., dziś udowodniły, że rozumieją potrzebę energetycznej niezależności. Państwo, które według naszych antyklimatycznych bajarzy miało rzekomo pokazywać, że „nikt rozsądny nie bawi się w zieloną energię", robi dokładnie odwrotnie. Chiny uruchamiają fotowoltaikę na skalę, która zawstydza resztę świata, rozwijają moce wiatrowe, liderują w elektromobilności, a w atomie nie zajmują się konferencjami o narodowej dumie, tylko budową.

Według danych Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA) z 2025 r., w Chinach działa 58 reaktorów jądrowych, kolejne 32 są budowane. Oznacza to, że Chiny mają obecnie największy na świecie program budowy nowych elektrowni jądrowych. A do tego jeszcze sukces eksperymentalnego „reaktora torowego" na ciekłych solach – projekt, który Amerykanie uważali za niemożliwy do realizacji. Chiny jadą trzema torami naraz – OZE, atom, elektryczna motoryzacja – podczas gdy polska prawica od lat siedzi na bocznicy i opowiada, że wiatrak to ideologia, ETS to haracz, a gaz z Ameryki to polska suwerenność.

I to jest właściwa pointa. Nie chodzi tylko o klimat, czyste powietrze i topniejące lodowce – choć to wszystko jest realne i bardzo ważne. Chodzi także o bezpieczeństwo. O to, by przyszłość Polski nie zależała kaprysu neoliberalnej finansjery i jej bandyckiej polityki; wojen Trumpa czy Putina, od ajatollahów ani od kolejnego polityka, który będzie nam tłumaczył, że spalanie importowanego gazu jest oznaką wolności, a wiatrak pod Sieradzem zwiastunem cywilizacyjnego upadku.

Bo prawdziwy upadek wygląda znacznie prościej. To krótkowzroczne władze zadufane w ideologii wolnego handlu, które każdą szansę na lokalną modernizację czy rozwój przepuszczają przez palce, a potem z pełną powagą tłumaczą obywatelom, że winny jest deszcz, nie dziurawy dach. I może właśnie to jest w tym wszystkim najbardziej kompromitujące: nie sam błąd, tylko upór, z jakim jest powtarzany.

ANNA GRODZKA

Życie W DOBROBYCIE

Bezrobocie wyskoczyło do 6,1 proc. To najwyższy poziom od września 2021 r. i rośnie dlatego, że pracy zaczyna ubywać. Na koniec października 2025 r. w Polsce pracowało 15 121 500 osób. Rok wcześniej było ich więcej o 24,7 tys. W skali kraju to spadek o 0,2 proc., czyli niby nic wielkiego. Ale w ciągu zaledwie jednego miesiąca z rynku zniknęło 6,5 tys. stanowisk. Najbardziej spektakularnie wygląda to w sektorach, które jeszcze niedawno uchodziły za stabilne. W rolnictwie w ciągu roku ubyło 44,6 tys. pracowników, a cały sektor skurczył się o 48,3 tys. osób, czyli o 4,1 proc. Przemysł stracił około 49 tys. miejsc pracy, a handel i naprawa samochodów kolejne 44,4 tys. To nie są już liczby, to dziesiątki tysięcy ludzi, którzy nagle przestali być potrzebni. Tymczasem w sektorze publicznym zatrudnienie rośnie. W ciągu roku przybyło tam 11,5 tys. pracowników, z czego aż 27 tys. w edukacji i 16 tys. w ochronie zdrowia i pomocy społecznej. Struktura zatrudnienia też zaczyna się zmieniać. Mężczyźni stanowią dziś 52,6 proc. pracujących, ale to właśnie wśród nich spadki są bardziej widoczne. W ciągu roku liczba pracujących facetów zmniejszyła się o 0,4 proc., podczas gdy liczba pracujących kobiet praktycznie się nie zmieniła. Układa się to w obraz rynku pracy, który zaczyna się kurczyć nie dlatego, że ludzie przestali chcieć pracować, ale dlatego, że gospodarka przestaje ich potrzebować. Paradoks polega jednak na tym, że słyszymy o czymś zupełnie przeciwnym. O skracaniu czasu pracy, o tym, że pracujemy za długo, że trzeba pracować mniej, ale zarabiać tyle samo. W Polsce przeciętny tydzień pracy wynosi dziś 39,3 godziny, podczas gdy średnia unijna to 36,1 godziny. I w tej samej rzeczywistości, w której tysiące ludzi tracą pracę, pojawia się pomysł, żeby ci, którzy ją mają, pracowali krócej. Jeszcze ciekawsze jest to, że według prognoz do 2050 r. w Polsce może brakować nawet 5 mln pracowników. Czyli kraj, który dziś zaczyna mieć problem z nadmiarem ludzi bez pracy, za ćwierć wieku będzie miał problem z ich brakiem. Jeśli ktoś lubi ekonomiczne łamigłówki, to lepszego przykładu trudno szukać.

Chyba że w Bydgoszczy. Gdzie przez ponad 100 lat gumę ugniatano, cięto i wysyłano w świat, gdzie ludzie jeszcze niedawno byli przekonani, że przepracują tu do emerytury, skoro rekordziści mieli na liczniku po 35, 37, a nawet 40 lat stażu i pamiętali czasy, gdy załoga liczyła 2 tys. osób, a nie 134, jak pod koniec lutego 2026 r. 92 z nich dostało wypowiedzenia i dowiedziało się, że w zakładzie, który formalnie wciąż ma zamówienia „do końca roku", dla nich miejsca już nie ma przez gumowe węże z Chin. To przez nie od 2022 r. przychody firmy zaczęły się kurczyć, aż w końcu uzbierało się ponad 36 mln zł strat. Ze 134 osób ma zostać około 40, czyli mniej niż jedna trzecia załogi, ale zarząd przekonuje, że właśnie w tym okrojonym składzie kryje się przyszłość przedsiębiorstwa, oparta na produkcji płyt, wykładzin gumowych i sznurów przemysłowych, czyli niszach, które ponoć znajdują odbiorców w Norwegii, Hiszpanii i Niemczech. „Mam portfel zamówień do końca roku. Planuję otworzyć drugą i trzecią zmianę" – mówi prezes, co brzmi jak opowieść z równoległej rzeczywistości dla tych, którzy właśnie pakują swoje rzeczy do kartonów. Związkowcy od miesięcy próbują coś ugrać, negocjują odprawy, nagrody jubileuszowe i programy aktywizacji zawodowej. W tę historię włączyli się też politycy, bo zawsze się włączają, gdy sprawa trafia do mediów, więc pojawiły się interpelacje, apele o wsparcie i zapowiedzi spotkań. Opowieść o Stomilu nie jest wyjątkiem, tylko fragmentem większej układanki, w której z jednej strony mamy rosnące wskaźniki makroekonomiczne, a z drugiej zwalniające ludzi zakłady, które nie wytrzymują konkurencji, zmian technologicznych i presji kosztowej. A pomiędzy – ludzi, którzy nagle dowiadują się, że to, co robili całe życie, przestało być potrzebne.

Tak jak szczecińska Fabryka Wódek Starka, która, żeby cokolwiek robić, potrzebuje kupca. Takiego, który wyłoży ponad 100 mln zł, żeby przejąć biznes, od czterech lat będący w upadłości. Oficjalna wycena przedsiębiorstwa wynosi dokładnie 106,3 mln zł, z czego około 70 mln zł przypada na samą nieruchomość – ponad 2 hektary terenu w Szczecinie wraz z kompleksem produkcyjno-magazynowym i piwnicami do starzenia alkoholu. Do tego dochodzą zapasy – ok. 3 tys. beczek trunku, w tym egzemplarze pamiętające rok 1947. Zapasy te mają „potencjał przychodowy" szacowany na 456,8 mln zł. Czyli ponad cztery razy więcej, niż wynosi wycena całego przedsiębiorstwa. Wystarczyłoby zatem sprzedać alkohol i problem by zniknął. Tyle że nie znika, bo firma na koniec 2023 r. miała 66 mln zł zobowiązań. To zaś oznacza, że zanim ktoś zacznie zarabiać, musi najpierw spłacić długi. Ta historia ma w sobie coś symbolicznego. Bo oto zakład, który ma zapasy warte potencjalnie prawie pół miliarda złotych, nie jest w stanie funkcjonować na bieżąco. To trochę tak, jakby ktoś siedział na skrzyni złota, ale nie miał kasy na rachunek za prąd. Teoretycznie bogaty, praktycznie bankrut. Coś jak NBP z jego księgowymi miliardami.



ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„800 zł miesięcznie" – taką emeryturę może zobaczyć na swoim koncie część dzisiejszych 40- i 50-latków i nie jest to publicystyczna przesada, tylko wniosek wynikający z bardzo konkretnych wyliczeń ZUS. Chodzi o zjawisko, które już dziś widać i które będzie narastać z każdym rokiem. Osoby, które dziś mają 40 lub 50 lat i nie zgromadzą odpowiedniego kapitału, mogą liczyć na świadczenia rzędu około 800–1200 zł brutto miesięcznie. To liczby wzięte z działania matematycznego, w którym zgromadzone składki dzieli się przez dalsze średnie trwanie życia. A to wynosi ponad 200 miesięcy. Oznacza to, że nawet jeśli ktoś uzbiera około 160 tys. zł kapitału emerytalnego, to jego miesięczne świadczenie wyniesie właśnie około 800 zł. Jeśli uzbiera mniej, dostanie jeszcze mniej. Ogromna część Polaków może mieć problem z uzbieraniem nawet takich kwot. Bo żeby zgromadzić 160 tys. zł składek, trzeba przez lata pracować i odprowadzać je regularnie. Tymczasem przerwy w zatrudnieniu, umowy cywilnoprawne, samozatrudnienie z minimalnymi składkami – wszystko to powoduje, że kapitał emerytalny rośnie wolniej, niż wynikałoby to z samego czasu pracy. Z danych wynika również, że coraz większa grupa osób nie spełnia warunków do otrzymania minimalnej emerytury, która dziś wynosi ponad 1700 zł brutto. Aby ją dostać,

eprasa.pl 8f0a9fc9f0

Niektóre inwestycje rządowe powinny zainteresować psychiatrów.

Popisizm ekonomiczny

Obecna władza niczego nie nauczyła się z historii największej ekonomicznej wtopy PiS, czyli przekopu Mierzei Wiślanej. Bo gdyby było inaczej, to wszystkie inwestycyjne pomysły ludzi Kaczyńskiego powinny wylądować w koszu.

Jeszcze zanim pierwsza koparka wjechała na mierzeję, wiadomo było, że projekt nie spina się ekonomicznie. I dlatego od samego początku operowano nie liczbami, tylko emocjami: „uniezależnienie od Rosji", „druga Gdynia", „impuls rozwojowy dla Elbląga".

Decyzja zapadła w 2016 r., we wrześniu 2022 r. kanał przez Mierzeję Wiślaną został uroczyście otwarty. Koszt: ponad 2 mld zł.

W 2025 r. przez przekop przepłynęło 1,3 tys. jednostek. Zdecydowana większość z nich to ruch turystyczny – jachty, łodzie rekreacyjne, niewielkie jednostki. I to na dodatek po parę dziennie. Ruch komercyjny pozostaje symboliczny: kilka jednostek miesięcznie. A kanał trzeba pogłębiać, śluza wymaga serwisu, mosty – obsługi. Cała infrastruktura generuje koszty stałe, które liczone są w milionach złotych rocznie. I będą rosły. Elbląg zaś – port, który miał być beneficjentem całego przedsięwzięcia – jest dokładnie tym, czym był przed budową kanału. Przekop okazał się zbędny.

Depresja pałacowa

W 2021 r. sejm przyjął ustawę o odbudowie Pałacu Saskiego, Pałacu Brühla i kamienic przy ul. Królewskiej. Powołano firmę Pałac Saski sp. z o.o., która miała inwestycję realizować. Ogłoszono, że koszt wyniesie około 2,5 mld zł. Na odbudowę pomnika poddaństwa Rosji!

Było bowiem tak, że w końcówce XVII w. Andrzej Morsztyn postawił tu swoją siedzibę. W 1713 r. August II Mocny wykupił teren i zaczął przebudowę. I to jest ten moment, do którego dziś odwołują się miłośnicy tej rekonstrukcji.

Potem pałac zmieniał właścicieli, aż wreszcie – po rozbiorach – trafił w ręce administracji rosyjskiej. I to właśnie wtedy, w latach 1839–1842, na polecenie Iwana Paskiewicza, namiestnika Królestwa Polskiego, powstaje to, co dziś wielu chce „odbudowywać". Nie saski pałac, tylko rosyjski gmach urzędowy. Budynek, który miał przypominać, kto tu rządzi.

W II RP rosyjski gmach zaadaptowany do polskich potrzeb przejęło Wojsko Polskie – ulokowano tam Sztab Generalny i słynne Biuro Szyfrów.

W 1944 r. Niemcy wysadzili kompleks. Ocalał tylko fragment kolumnady, który dziś stanowi Grób Nieznanego Żołnierza. W latach powojennych zostawiono pustkę i trzy arkady jako świadectwo. I przez dziesięciolecia nikt tego nie kwestionował.

Pierwsza poważniejsza próba pojawiła się dopiero za prezydentowania w Warszawie Lecha Kaczyńskiego. W styczniu 2004 r. ogłoszono przetarg na odbudowę Pałacu Saskiego i Pałacu Brühla. Projekt jednak upadł jeszcze przed rozpoczęciem prac.

W 2005 r. ogłoszono kolejny przetarg – tym razem tylko na Pałac Saski. Rozpoczęto przygotowania. W 2008 r., już za rządów PO–PSL, miasto Warszawa rozwiązało umowę z wykonawcą. W 2012 r. minister kultury Bogdan Zdrojewski próbował wrócić do koncepcji i znów – na kilka lat – zapadła cisza.

Do momentu, gdy w 2018 r., podczas obchodów stulecia niepodległości, Andrzej Duda ogłosił, że Pałac Saski zostanie odbudowany. Po trzech latach była już wspomniana ustawa. Powołana spółka działała, a struktura się rozrastała. Ale budowy nie było.

Nowa władza pod koniec 2023 r. skonstatowała, że na przedsięwzięcie wydano ponad 80 mln zł Był rozkopany plac, funkcjonująca spółka z obsadzonym zarządem i brak odpowiedzi na podstawowe pytanie – co właściwie ma tam powstać i do czego ma służyć.

Naturalną reakcją byłoby zatrzymanie projektu. Tymczasem w marcu 2024 r. minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz bronił projektu, mówiąc o „zabliźnianiu rany" i „symbolice miejsca". Spółka nie została zlikwidowana.

Jeśli ktoś spodziewa się, że w centrum Warszawy stoi plac budowy z dźwigami, robotnikami i rosnącymi murami, to musi się srodze rozczarować. Nie ma żadnych prac konstrukcyjnych. Nie ma wylewania fundamentów pod nowe budynki. Nie ma montażu instalacji. Nie ma nawet przygotowanego projektu wykonawczego, który pozwoliłby takie prace rozpocząć. Są natomiast ekspertyzy, dokumentacje, analizy i cała infrastruktura administracyjna. Bo spółka Pałac Saski funkcjonuje normalnie: ma zarząd, pracowników, budżet. Po zmianie władzy wymieniono kierownictwo, ale sama struktura pozostała nienaruszona.



Rys. TOMASZ WIATER

To, co zostawił PiS, zostało przejęte i utrzymane. I nie ma nikogo, kto powiedziałby, że odbudowa ruskiego gmachu jest bez sensu. Lepiej płacić miliony za pilnowanie dołu w ziemi.

Neuroza elektryczna

Żeby był polski samochód elektryczny, w 2017 r. powołano ElectroMobility Poland, spółkę czterech państwowych koncernów energetycznych. Kapitał szybko podniesiono, bo okazało się, że za 10 mln zł kapitału początkowego nie da się nawet udawać, że buduje się przemysł motoryzacyjny. Najpierw dołożono kilkadziesiąt milionów, potem setki, aż w końcu rachunek przekroczył pół miliarda złotych. Przez lata zmieniały się nazwiska w zarządzie, zmieniały się koncepcje, harmonogramy, ale nie zmieniało się jedno – brak efektu.

Gdy w 2018 r. pokazano prototypy zaprojektowane przez włoskie Torino Design, można było jeszcze udawać, że coś się dzieje. Gdy ogłoszono, że platformę dostarczy chińskie Geely, można było nawet przez chwilę uwierzyć, że ktoś ten projekt traktuje poważnie. Ale już wtedy było jasne, że Polska miała być miejscem montażu, logistycznym przystankiem między portem a salonem sprzedaży. I nawet to nie wyszło.

Zmiana władzy niczego tu nie zmieniła, poza tempem, w jakim iluzja zaczęła się rozpadać. Nowy rząd przejął projekt w stanie wirtualnym. W tym momencie można było go zamknąć i przyznać, że był błędem. Wybrano kontynuację bez decyzji.

I oto w roku 2024 ElectroMobility Poland wykazuje stratę przekraczającą 274 mln zł. Przy zatrudnieniu niewiele ponad 100 osób. I mimo to nikt nie mówi „stop". W Jaworznie wydano ponad 320 mln zł na przygotowanie terenu pod fabrykę. Powstały drogi, przyłącza, infrastruktura, wszystko, co potrzebne, by zakład mógł zacząć działać. I na tym się skończyło. Geely, chiński koncern, który miał być gwarancją, że projekt ma sens, również się wycofał. Stracił cierpliwość.

Ale zamiast zamknąć projekt, państwo zaczęło szukać nowych partnerów. Również w Chinach. Mniej renomowanych, mniej doświadczonych, ale za to gotowych wejść w układ, w którym głównym produktem będzie przepływ pieniędzy. W międzyczasie spółka składa wniosek o 4,5 mld zł z Krajowego Planu Odbudowy, czyli próbuje przeskalować projekt, który nie działał przy wydatkach liczonych w setkach milionów.

Wszystko to przy pełnej świadomości, że sprzedaż elektryków w Europie spowalnia, koszty produkcji rosną, a konkurencja ze strony Chin atakuje z szybkością, za którą żaden polski projekt nie jest w stanie nadążyć.

Ale władza nie kontynuuje Izery dlatego, że wierzy w jej sukces. Kontynuuje ją dlatego, że nie ma odwagi jej zakończyć.

Schizofrenia lotniskowa

Historia CPK zaczyna się oficjalnie w 2017 r., gdy rząd PiS przyjmuje koncepcję budowy centralnego lotniska między Warszawą a Łodzią. W Baranowie, na polach, które do tej pory miały znaczenie głównie rolnicze. Już wtedy pojawiają się liczby, które mają działać na wyobraźnię: 45 mln pasażerów rocznie w pierwszym etapie, docelowo nawet 100 mln. Koszt – początkowo około 30–35 mld zł, szybko rosnący w kolejnych aktualizacjach do poziomu przekraczającego 150 mld zł dla całego programu obejmującego lotnisko, kolej i drogi. Po siedmiu latach, w 2023 r. PiS ogłasza, że budowa ruszy w 2024, a pierwsze samoloty wystartują w 2028.

Gdy zmieniła się władza, były wykupione tysiące hektarów, projekty, umowy doradcze i były wydane miliardy złotych – ale nie było wbitej łopaty pod główną inwestycję.

Nowy rząd przyniósł nową nazwę – „Port Polska" – nowy harmonogram i nowe liczby.

Na realizację programu CPK wydano już ponad 10 mld zł – choć budowa się jeszcze nie zaczęła. Trwają intensywne prace przygotowawcze, które oznaczają, że decyzja o rozpoczęciu inwestycji wciąż nie zapadła w sposób ostateczny. Minister infrastruktury mówi o terminie otwarcia przesuniętym na początek lat 30.

Ba, trwa dyskusja o tym, co zrobić z lotniskiem Chopina. Bo według pierwotnej koncepcji PiS po uruchomieniu CPK warszawskie lotnisko miało zostać zamknięte. Dziś ta koncepcja się rozpada.

Rozważane są scenariusze, w których lotnisko Chopina nie tylko nie zostanie zamknięte, ale będzie dalej rozwijane. A to oznacza konieczność inwestycji liczonych w miliardach złotych w infrastrukturę, która według pierwotnych założeń miała zostać wygaszona.

Pojawia się pytanie, na które nikt dziś nie chce odpowiedzieć wprost.

Jeśli lotnisko Chopina ma działać dalej i być rozbudowywany, to po co CPK w skali, w jakiej został zaprojektowany? A jeśli CPK ma być głównym portem, to po co inwestować miliardy w warszawskie lotnisko?

I jest tak, że państwo równolegle realizuje dwa sprzeczne projekty, bo nie potrafi zdecydować się na jeden. Co cieszy jedynie członków zarządów firm, które dzięki wariackim pomysłom PiS powstały, a dzięki nowej władzy – nieszczególnie się przemęczając – mają się nader dobrze.

TADEUSZ JASIŃSKI



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

trzeba mieć co najmniej 20 lat stażu pracy w przypadku kobiet i 25 lat w przypadku mężczyzn. Jeśli ktoś nie spełnia tego warunku, dostaje świadczenie na poziomie kilkuset złotych, a nawet niższe. „To będą bardzo niskie emerytury" – wynika z analiz. I trudno się z tym nie zgodzić, skoro mówimy o kwotach rzędu 800 zł miesięcznie w świecie, w którym przeciętne wynagrodzenie sięga kilku tysięcy złotych, a koszty życia rosną z tygodnia na tydzień.

Ale jest wyjście z tej sytuacji, bo od 1 kwietnia wiele osób, miast martwić się o głodowe emerytury, może zacząć przeglądać rządowe tabelki. W nich bowiem są nowe stawki jednorazowych odszkodowań za wypadki przy pracy oraz choroby zawodowe i nie są to liczby, które można zignorować, bo za każdy procent stałego lub długotrwałego uszczerbku na zdrowiu przysługuje dokładnie 1781 zł, co oznacza, że przy 10 proc. robi się z tego już 17 810 zł, przy 20 proc. 35 620 zł, a przy 50 proc. mówimy o kwocie 89 050 zł, czyli sumach, które dla wielu pracujących są równowartością kilkuletnich oszczędności, o ile w ogóle jakieś mają. A jeszcze ciekawiej robi się tam, gdzie zdrowie kończy się całkowicie, bo osoba, która otrzyma orzeczenie o całkowitej niezdolności do pracy oraz niezdolności do samodzielnej egzystencji, może liczyć na jednorazowe 31 162 zł. Prawdziwe bogactwo zaczynają się jednak tam, gdzie kończy się życie, bo w przypadku śmierci ubezpieczonego lub rencisty państwo wycenia stratę na 160 264 zł dla małżonka lub dziecka, a jeśli dzieci jest więcej, to każde kolejne dokłada do tej kwoty dodatkowe 31 162 zł, co oznacza, że przy trójce dzieci robi się z tego już ponad 220 tys. zł, a przy większych rodzinach kwoty rosną dalej, pokazując, że nawet tragedia ma w systemie swoją dokładną taryfę. Jeśli natomiast uprawnieni są inni członkowie rodziny niż małżonek czy dzieci, to dostają oni 80 132 zł oraz – znów – 31 162 zł dodatku na drugą i każdą kolejną osobę, przy czym – co istotne – mogą oni otrzymać te pieniądze niezależnie od świadczeń wypłacanych najbliższym, co oznacza, że jeden wypadek może uruchomić wypłaty dla kilku osób jednocześnie, a suma tych wypłat zaczyna przypominać budżet małej firmy. Zaś odszkodowania w wielu przypadkach przewyższają roczne zarobki większości zatrudnionych. Nie oznacza to oczywiście, że ktokolwiek rozsądny będzie planował wypadek, ale...

TTJ

eprasa.pl 8f0a9fc9f0

Leżąc na stercie butelek

Kaucja a klasizm

System kaucyjny działa w Polsce od października 2025 r. i miał być dowodem na to, że państwo oraz wielki handel potrafią zorganizować coś cywilizowanego: kupujesz napój, oddajesz opakowanie, odzyskujesz pieniądze, a przy okazji mniej plastiku wala się po lasach i chodnikach.

Sam pomysł nie jest zły. Trudno zresztą rozsądnie spierać się z ideą, wedle której opakowanie ma nie zanieczyszczać środowiska, tylko wracać do obiegu.

Problem zaczyna się wtedy, gdy taki system trafia na polskie warunki: źle przygotowane sklepy, niewystarczającą liczbę punktów odbioru, awarie automatów, kolejki, przepełnione miejsca zwrotu i ogólne poczucie, że wszystko działa gorzej, niż obiecywano. Miało być prosto, a wyszło jak często u nas: obywatel znowu ma się dostosować do rozwiązania, które samo nie jest jeszcze gotowe.

System kaucyjny miał porządkować rzeczywistość, a często po prostu dorzucił ludziom nowy obowiązek. Trzeba odkładać butelki i puszki, przechowywać je w domu, pamiętać o nich przy wyjściu na zakupy, zanieść je do sklepu i jeszcze liczyć, że automat przyjmie opakowanie, a obsługa nie odeśle człowieka z kwitkiem. Z punktu widzenia urzędniczego albo korporacyjnego wszystko może się zgadzać. Z punktu widzenia zwykłego życia oznacza to jednak kolejną drobną uciążliwość, którą przedstawia się jako wielki postęp.

Na moim osobistym przykładzie: jestem niepełnosprawny, a do automatu mam w tej chwili ponad kilometr. Jak kiedyś sprzedam te kilka worków, które uzbierałem (a i jeszcze uzbieram), będę przy forsie – ale chyba nie dlatego powstał ten system.

Pozwolę sobie dodać, że lobby aptekarskie oraz alkoholowe zostały z systemu kaucyjnego zwolnione, więc butelki po małpkach walają się po staremu, a w aptece butelki nie oddasz, choć to coraz częściej zwykłe sklepy. Kalecy jednak takiego lobby nie mają, a szkoda.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Drugi problem jest głębszy i mniej chętnie opisywany. System kaucyjny nie działa przecież w społeczeństwie wolnym od uprzedzeń. W Polsce od dawna istnieje silny odruch pogardy wobec ludzi zbierających butelki czy puszki. Śmieją się z „meneli", z osób grzebiących w śmietnikach, z tych, którym kilka złotych robi różnicę. Bieda nie budzi współczucia ani refleksji, tylko bardzo często odruchowy dystans, a nawet rozbawienie. I nagle w takim kraju państwo ogłasza rozwiązanie, które w praktyce zachęca wszystkich do robienia czegoś, co przez lata było kojarzone z nędzą i społecznym upadkiem. Tu właśnie wychodzi polska sprzeczność.

Gdy butelkę oddaje ktoś z klasy średniej, mówi się o ekologii, odpowiedzialności i nowoczesnych nawykach. Gdy podobną czynność wykonuje ktoś biedniejszy, starszy, zaniedbany albo po prostu wyraźnie liczący każdą złotówkę – bardzo łatwo staje się obiektem kpin.

Ten sam gest ma więc dwa znaczenia – zależnie od tego, kto go wykonuje. W jednym przypadku jest cnotą obywatelską, w drugim powodem do drwiny. System kaucyjny nie stworzył tej pogardy, ale dobrze ją pokazał. Widać to choćby w internecie.

Dlatego nie wystarczy mówić tylko o problemach technicznych. Owszem, one są realne: jeżeli automaty się zacinają, sklepy nie wyrabiają, miejsca odbioru są źle zorganizowane, a klienci nie wiedzą, gdzie i jak mogą odzyskać kaucję, to cały system traci wiarygodność. Ale obok tego mamy jeszcze problem społeczny. Polska przez lata uczyła ludzi, że odzyskiwanie drobnych pieniędzy z opakowań to zajęcie dla przegranych. Teraz ci sami ludzie mają uwierzyć, że jest to zachowanie godne pochwały. Trudno się dziwić, że zgrzyta nie tylko logistyka, ale też mentalność.

W efekcie system kaucyjny odsłonił dwie słabości naraz. Po pierwsze, słabość państwa i rynku, które znów nie potrafiły wdrożyć prostego rozwiązania bez chaosu i przerzucania kosztów organizacyjnych na ludzi. Po drugie, słabość społeczną: bardzo niską zdolność do traktowania biedy bez pogardy. To połączenie jest szczególnie niewygodne. Bo nagle okazuje się, że nie chodzi tylko o butelki, automaty i paragony, ale również o to, kto w Polsce może coś odzyskiwać bez wstydu, a kto od razu zostaje uznany za kogoś gorszego.

Można oczywiście powiedzieć, że to tylko okres przejściowy i że z czasem system się dotrze. Być może część problemów rzeczywiście zniknie. Pytanie jednak, czy zniknie coś więcej niż kolejki i awarie. Bo nawet najlepiej działający system nie zmieni sam z siebie tego, że w Polsce nadal łatwo przychodzi szydzić z ludzi biednych, oszczędnych albo po prostu zmuszonych do liczenia każdej monety. A wtedy nawet sensowne rozwiązanie trafia w rzeczywistość, która potrafi je zamienić w kolejny mechanizm upokorzenia.

System kaucyjny miał być znakiem porządku i nowoczesności. Na razie stał się raczej lustrem. Widać w nim i organizacyjny bałagan, i społeczną hierarchię pogardy. Widać państwo, które znów coś źle przygotowało, oraz społeczeństwo, które nadal nie umie patrzeć na biedę bez poczucia wyższości. I może właśnie to jest w tej całej stercie butelek najbardziej przykre.

DAMIAN DUSZCZENKO

Uzdrowiska pełne schizofrenii

Wszyscy pacjenci są równi, ale niektórzy nie są pacjentami.

Uzdrowiskowa Polska z punktu widzenia NFZ wygląda dziś jak hotel bez gości, tyle że rachunki przychodzą jak za pełne obłożenie, a system udaje, że wszystko jest w porządku, choć liczby pokazują coś dokładnie odwrotnego. Bo choć mamy sieć kilkuset sanatoriów, tysiące łóżek i kolejki pacjentów liczone w setkach tysięcy, to okazuje się, że łóżka stoją puste, turnusy się nie domykają, a problem niedojazdów – jak eufemistycznie określa się sytuację, w której pacjent po prostu nie przyjeżdża – zaczyna rozkładać cały segment lecznictwa uzdrowiskowego na łopatki.

Teoretycznie rocznie przez sanatoria przewinąć się powinno około 700–800 tys. osób, ale w niektórych ośrodkach nawet co trzeci pacjent nie pojawia się na miejscu. Przy 30 proc. pustych miejsc oznacza to, że setki tysięcy zakontraktowanych przez NFZ tzw. osobodni po prostu przepadają, a pieniądze – zamiast pracować na rzecz zdrowia – się rozpływają. I nie jest to problem chwilowy, bo skala zjawiska w ostatnich latach wyraźnie rośnie, a rekordowe przypadki pokazują, że na pojedynczych turnusach frekwencja potrafi spaść nawet poniżej 60 proc.

Osobodzień płaczu

System udaje, że problemu nie ma. Bo formalnie wszystko się zgadza – skierowania są wystawiane, kontrakty podpisane, miejsca zabezpieczone. Tyle że pacjent, który dostaje termin za 12 czy 18 miesięcy, często w tym czasie zmienia pracę, mieszkanie, ma wylew, zawał, terminalnego raka albo zwyczajnie traci zainteresowanie wyjazdem. I nie przyjeżdża. Nikt go nie zastępuje, bo mechanizm szybkiego „dopychania" turnusów nie istnieje, a informacja o zwolnionym miejscu krąży w systemie tak długo, że zanim dotrze do kolejnej osoby, turnus zdąży się skończyć.

Do tego dochodzi kwestia struktury pacjentów. Sanatoria projektowane dekady temu jako element rehabilitacji pourazowej i leczenia chorób przewlekłych dziś coraz częściej świecą pustkami, bo młodsi pacjenci nie są zainteresowani kilkutygodniowym pobytem w trybie rodem z PRL, a starsi – którzy teoretycznie powinni stanowić trzon systemu – coraz częściej nie są w stanie dojechać, zorganizować wyjazdu albo zwyczajnie nie chcą opuszczać miejsca zamieszkania na trzy tygodnie.

„Niedojazdy" nie są więc wyłącznie kaprysem pacjentów. Są konsekwencją źle zaprojektowanego systemu, który każe czekać kilkanaście miesięcy na świadczenie, a potem oczekuje stuprocentowej frekwencji.

Skala finansowa problemu robi jeszcze większe wrażenie, bo jeśli przyjąć, że średni koszt osobodnia w sanatorium ponoszony przez NFZ wynosi ponad 100 zł, to przy setkach tysięcy niewykorzystanych miejsc rocznie mówimy o setkach milionów złotych, które system po prostu traci.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Na tym tle nader idiotycznie brzmią zapewnienia o „optymalnym wykorzystaniu zasobów" i „racjonalnym planowaniu świadczeń". Bo jeśli system nie jest w stanie zagospodarować nawet tych miejsc, które sam tworzy i finansuje, to trudno mówić o jakiejkolwiek racjonalności.

„Niedojazdy" zakontraktowane

Jeszcze ciekawiej robi się wtedy, gdy spojrzymy na mechanizmy rozliczeń. Sanatoria dostają pieniądze za zakontraktowane miejsca, ale ich realne przychody zależą od liczby faktycznie przyjętych pacjentów. Przy wysokim poziomie „niedojazdów" oznacza to, że placówki działają poniżej progu rentowności, ograniczają inwestycje, tną koszty i obniżają jakość usług. A to z kolei jeszcze bardziej zniechęca potencjalnych pacjentów.

Nie pomaga też fakt, że w wielu przypadkach infrastruktura uzdrowiskowa pamięta czasy, gdy słowo „standard" oznaczało coś zupełnie innego niż dziś. Dla współczesnego pacjenta trzy tygodnie w pokoju bez łazienki, z reglamentowanym dostępem do zabiegów i menu rodem ze stołówki pracowniczej nie są atrakcyjną propozycją zdrowotną, tylko doświadczeniem, którego raczej chce się uniknąć.

Ale system, zamiast skrócić kolejki, wprowadzić elastyczne zarządzanie miejscami i realny system powiadamiania pacjentów, woli udawać, że problem leży po stronie tych, którzy nie dojechali.

Chyba że sanatoriom o taki właśnie obraz chodzi. Może dzięki niemu uzdrowiska mogą realizować plan tyleż cwany, co pokrętny. Bo jest i druga strona leczenia uzdrowiskowego, która coraz częściej przypomina katalog usług wellness dla klasy średniej wyższej, tyle że podszyty publicznymi pieniędzmi i retoryką troski o zdrowie.

Wellness dla wybranych

Kiedy w ofertach uzdrowisk zaczynają dominować pakiety świąteczne, weekendowe, detoksowe i relaksacyjne, a ceny za kilka dni pobytu osiągają poziom kilku tysięcy złotych, to trudno jeszcze mówić o systemie ochrony zdrowia. Wystarczy spojrzeć na konkretne liczby: kilkudniowy pakiet wielkanocny w jednym z polskich uzdrowisk kosztuje około 2,5–3 tys. zł od osoby, przy czym w cenie mamy nie tylko leczenie, ale także uroczyste śniadanie wielkanocne, wieczorki taneczne, strefę SPA i zabiegi relaksacyjne. W bardziej ekskluzywnych ośrodkach rachunek potrafi przekroczyć 4 tys. zł za kilka dni pobytu, co daje stawki rzędu 600–800 zł za dobę. I nie są to ceny dla zagranicznych turystów, tylko dla polskich klientów.

W tym samym czasie pacjent skierowany przez NFZ dostaje turnus wyceniony na kilkadziesiąt złotych dziennie i zestaw zabiegów, które często ograniczają się do kilku podstawowych procedur. Różnica między tymi dwoma światami nie polega więc na standardzie, tylko na filozofii działania. Bo skoro można sprzedać pokój za 700 zł za dobę klientce, która przyjeżdża odpocząć od korporacji, to trudno się dziwić, że właściciel sanatorium woli ją niż pacjenta, który przyjeżdża z niewydolnością krążenia i kontraktem z NFZ.

Funkcja uzdrowiskowa została wyparta przez funkcję hotelowo-rekreacyjną. Oficjalnie wszystko się zgadza, bo zabiegi są, lekarz jest, infrastruktura też. Tyle że proporcje zostały odwrócone. Leczenie nie jest celem pobytu, tylko dodatkiem do pakietu wypoczynkowego.

Najlepiej widać to w strukturze ofert: w materiałach promocyjnych uzdrowisk słowa takie jak „rehabilitacja", „leczenie" czy „terapia" ustępują miejsca frazom w rodzaju „relaks", „odnowa biologiczna", „wellness", „harmonia ciała i ducha". A jeśli pojawia się medycyna, to najczęściej w formie „konsultacji" lub „indywidualnie dobranych zabiegów", które brzmią dobrze w reklamie, ale niewiele mówią o realnym procesie leczenia.

„Pakiet obejmuje bogaty program animacyjny, dostęp do strefy SPA, uroczyste posiłki oraz zabiegi relaksacyjne" – czytamy w jednej z ofert. I wszystko się zgadza, tylko że trudno w tym znaleźć cokolwiek, co uzasadniałoby utrzymywanie całego systemu uzdrowiskowego w ramach publicznej ochrony zdrowia.

Co więcej, ceny tych pakietów nie są przypadkowe. Jeśli przyjąć, że średnia pensja w Polsce oscyluje wokół 7–8 tys. zł brutto, to kilkudniowy pobyt za 3 tys. zł oznacza wydatek rzędu połowy miesięcznego dochodu przeciętnego pracownika. To nie jest oferta dla statystycznego pacjenta, tylko dla wąskiej grupy klientów, którzy traktują sanatorium jak hotel i SPA z dodatkiem tradycji uzdrowiskowej.

SPA z NFZ

Sanatoria, zamiast pełnić funkcję elementu systemu leczenia, zaczynają konkurować na rynku usług turystycznych. Tyle że robią to z uprzywilejowanej pozycji, korzystając z infrastruktury i finansowania, które powstały z myślą o czymś zupełnie innym.

Wygląda na to, że państwo utrzymuje system, który służy nie tym, którzy najbardziej potrzebują leczenia, tylko tym, którzy mogą zapłacić za weekend z masażem i basenem solankowym. Ktoś, kto rzeczywiście wymaga rehabilitacji, stoi w kolejce miesiącami, żeby dostać miejsce w ośrodku, który – gdy już tam trafi – bardziej przypomina przychodnię z lat 80. niż nowoczesne centrum medyczne.

Oba te światy funkcjonują obok siebie, często w tym samym budynku. Na jednym piętrze pacjenci z NFZ, na drugim – goście komercyjni. Ci pierwsi liczą na poprawę zdrowia, ci drudzy na poprawę samopoczucia. I to oni zaczynają definiować kierunek rozwoju całego sektora.

Bo skoro można zarobić więcej na pakiecie weekendowym niż na trzech tygodniach rehabilitacji, to wybór jest oczywisty. Nawet jeśli oficjalnie nikt tego nie powie. I być może nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że cały ten system wciąż funkcjonuje pod szyldem ochrony zdrowia. Bo jeśli sanatorium staje się SPA dla znudzonych bizneswoman, to przestaje być elementem systemu leczenia.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 8f0a9fc9f0

Najważniejszym problemem prawnym Polski jest, jak wiadomo, przedrostek „neo”…

Alimentacja obosieczna

Pan Jerzy od zawsze uważał się za człowieka „ogarniętego życiowo”, co w jego rozumieniu oznaczało, że wie wszystko to, co wiedzieć powinien przeciętny obywatel RP: że trzeba płacić podatki, nie wolno kraść i że alimenty płaci ojciec na dziecko, kiedy się rozwiedzie z jego matką. Mieszkał w Łodzi w bloku z wielkiej płyty, gdzie wiedza prawna ograniczała się do tego, co mówią w telewizji oraz co ktoś kiedyś miał w rodzinie. A w rodzinie pana Jerzego temat alimentów był prosty i klarowny: facet odchodzi – płaci, nie odchodzi – nie płaci. A kiedy dziecko jest dorosłe, to już w ogóle temat się kończy, bo każdy „idzie na swoje”.

Pan Jerzy był więc święcie przekonany, że alimenty to instytucja związana wyłącznie z biologicznym rodzicielstwem i że jego – jako człowieka, który nikogo nie spłodził i nikogo nie porzucił – ten temat nie dotyczy.



Rys. OBYWATEL JANEK

Zgodnie ze współżyciem

Poznał panią Halinę na potańcówce dla „aktywnych 50 plus”. Ona – wdowa z energią, on – wdowiec z rozsądkiem. Ona mówiła, że „życie trzeba przeżyć jeszcze raz”, on że „oby już spokojniej”. Jak to zwykle bywa – wygrała Halina. Ślub był skromny: Urząd Stanu Cywilnego, obiad w knajpie, a potem wspólne życie. Była też niespodzianka – syn pani Haliny z pierwszego małżeństwa, 22-letni student, który „jeszcze szukał swojej drogi”. Ta zaś była kręta. Prowadziła przez kolejne kierunki studiów, wynajmowane mieszkania i regularne przelewy od matki.

Zderzenie z rzeczywistością nastąpiło, gdy przyszedł pozew. Wyglądał bardzo poważnie i był napisany językiem, który pan Jerzy znał tylko z filmów sądowych, czyli takim, w którym każde zdanie brzmiało jak wyrok. Tam właśnie po raz pierwszy przeczytał o przepisie, który brzmiał jak żart, ale żartem nie był: „dziecko może żądać świadczeń alimentacyjnych od męża swojej matki, niebędącego jego ojcem, jeżeli odpowiada to zasadom współżycia społecznego”. Pan Jerzy przeczytał to zdanie kilka razy, po czym powiedział do żony, że to musi być jakaś pomyłka, bo przecież on nie jest ojcem tego chłopaka, a ona odpowiedziała, że prawo to prawo i może warto iść do prawnika.

Prawnik przyjmował w kamienicy w centrum Łodzi, takiej z wysokimi sufitami i zapachem dokumentów. Pan Jerzy usiadł, wyjął pozew i powiedział, że on nic z tego nie rozumie, bo przecież alimenty płaci się dzieciom, a nie obcym dorosłym ludziom, którzy studiują dla przyjemności. Prawnik spojrzał na niego z charakterystycznym spokojem człowieka, który widział już wszystko, i powiedział, że rozumie zdziwienie, ale niestety przepisy są jednoznaczne.

– Zgodnie z art. 144 par. 1 Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego dziecko może żądać świadczeń alimentacyjnych od męża swojej matki, niebędącego jego ojcem, jeżeli odpowiada to zasadom współżycia społecznego, a w par. 3 wskazano, że do tego obowiązku stosuje się odpowiednio przepisy o obowiązku alimentacyjnym między krewnymi.

Pan Jerzy zapytał wtedy, co to właściwie znaczy „zasady współżycia społecznego”, bo jemu się to kojarzyło raczej z tym, żeby nie hałasować po godz. 22.00 i mówić „dzień dobry” sąsiadom, a nie z finansowaniem dorosłego człowieka. Prawnik wyjaśnił, że to jest właśnie ta część prawa, która daje sądowi bardzo szeroką swobodę interpretacji, i że w praktyce oznacza to, iż jeśli sąd uzna, że dana sytuacja podpada pod te zasady, to obowiązek powstaje, a jeśli uzna, że nie popada, to nie powstaje.

Pan Jerzy poczuł wtedy pierwszy raz, że coś jest nie tak, bo całe życie uczono go, że prawo to zbiór jasnych zasad, a tu nagle okazało się, że kluczowym elementem jest coś, co brzmi jak opinia sąsiadki z klatki schodowej. Prawnik jednak nie pozostawił mu złudzeń i wyjaśnił dalej, że skoro syn jego żony studiuje, nie ma własnych dochodów i wystąpił z pozwem, to sąd najprawdopodobniej uzna, że „zasady współżycia społecznego” przemawiają za przyznaniem alimentów, zwłaszcza jeśli pan Jerzy ma stałe dochody.

Pan Jerzy próbował jeszcze argumentować, że przecież chłopak mieszka sam od lat, że nigdy go nie wychowywał, że nie ma z nim żadnej więzi, ale prawnik odpowiedział, że w świetle przepisów to nie ma znaczenia, ponieważ prawodawca nie uzależnił tego obowiązku od faktycznego wychowywania, tylko od samego faktu pozostawania w relacji powinowactwa i oceny sądu.

Kiedy zapadł wyrok, pan Jerzy miał już świadomość, że walczy z czymś, czego nie rozumie, ale wciąż nie mógł się pogodzić z jego logiką. Płacił więc alimenty przez parę lat. W międzyczasie kilkakroć wracał do prawnika, próbując znaleźć jakąś drogę wyjścia, ale odpowiedź była zawsze podobna – dopóki młody człowiek nie ukończy 25. roku życia, uczy się i nie jest w stanie utrzymać się samodzielnie, obowiązek trwa, ponieważ tak stanowi ogólna zasada wyrażona w art. 133 par. 1 Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego, zgodnie z którym „rodzice obowiązani są do świadczeń alimentacyjnych względem dziecka, które nie jest jeszcze w stanie utrzymać się samodzielnie”.

Jeszcze zgodniej ze współżyciem

Pan Jerzy płacił co miesiąc, punktualnie jak ZUS. Młody człowiek studiował nieustannie. Najpierw socjologię, potem kulturoznawstwo, na końcu – „zarządzanie czymś tam, gdzieś tam”. Najważniejsze, że studiował. A skoro studiował – to „nie był w stanie się sam utrzymać”.

Przyszła jednak chwila, gdy syn żony skończył 25 lat, pan Jerzy osiągnął wiek emerytalny, jego dochody zaś spadły do poziomu, który trudno było nazwać godnym. Obczytany w prawie wrócił do prawnika z pytaniem, czy to już pora, żeby się odkuć za alimenty.

Prawnik, który najwyraźniej lubił symetrię systemu prawnego, otworzył kodeks w tym samym miejscu i przeczytał, że „mąż matki dziecka, niebędący jego ojcem, może żądać od dziecka świadczeń alimentacyjnych, jeżeli przyczyniał się do wychowania i utrzymania dziecka, a żądanie jego odpowiada zasadom współżycia społecznego”. Następnie spojrzał na pana Jerzego i powiedział, że skoro przez lata płacił alimenty, to w praktyce przyczyniał się do utrzymania, a skoro teraz znajduje się w niedostatku, to istnieją podstawy do wystąpienia z roszczeniem.

Pan Jerzy skonstatował zatem, że chłopak, który przez lata brał od niego pieniądze, teraz może być zobowiązany do płacenia jemu. Prawnik odpowiedział, że dokładnie tak działa system i że prawo, choć bywa niezrozumiałe, potrafi być konsekwentne w swojej niekonsekwencji.

Proces był formalnością, a jego wynik – logicznym domknięciem całej historii, która od początku była nielogiczna. Pan Jerzy wygrał i zaczął otrzymywać alimenty od człowieka, którego wcześniej utrzymywał, bo tak zdecydował sąd, kierując się tym samym zestawem przepisów i tą samą kategorią „zasad współżycia społecznego”, która wcześniej działała w przeciwnym kierunku.

Siedząc któregoś dnia na ławce przed blokiem w Łodzi, pan Jerzy powiedział znajomemu, że właśnie zrozumiał morał tej historii, który brzmi, że w polskim systemie prawnym, którego idiotyzm jest konstrukcją trwałą, odporną na logikę, doświadczenie i zdrowy rozsądek – kto paragrafem obrywa, ten paragrafem oddaje.

TOMASZ BOROWIECKI

Na tropie nienawiści

Niechętna pięćdziesiątka Żurka

Waldemar Żurek, minister sprawiedliwości i prokurator generalny, wyznaczył 50 prokuratur w kraju do ścigania mowy nienawiści tak w czynach, jak i w social mediach. Entuzjazmu wśród śledczych z tego powodu nie uświadczysz, czego dowodem był protest Prokuratury Rejonowej w Łomży.

Zanim bowiem powstała lista ostateczna takich jednostek, opublikowana 6 lutego w dzienniku ustaw, łomżyńska rejonówka poskarżyła się Żurkowi na przeciążenie pracą oraz potencjalny organizacyjny paraliż jednostki.

Było to łatwe do wyobrażenia, gdyż prokuratura w Łomży – gdyby pałac sprawiedliwości nie uwzględnił ostatecznie chociażby w części jej sprzeciwu – tropiłaby rodzimą czarną sotnię w dwu województwach: podlaskim i warmińsko-mazurskim. Co konkretnie obejmowałoby obszar działania wyznaczony prokuraturom z okręgu nie tylko łomżyńskiego, ale i białostockiego, suwalskiego, ełckiego i olsztyńskiego. To masa spraw tej kategorii przestępstw, nie do udźwignięcia dla prokuratorów, gdyby nawet mieli po kilka żyć jak w grach komputerowych.

Żurek zasięgnął więc języka w Prokuraturze Okręgowej w Białymstoku, a ta do pomocy Łomży bez wahania wskazała – figurującą teraz jako pierwsza w rozporządzeniu ministra sprawiedliwości – Prokuraturę Rejonową w Hajnówce.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Od wiewiórek w resorcie słyszymy, że to finezyjna zemsta prokuratora okręgowego Mirosława Żocha, który nie lubi szefa tej rejonówki Marka Dąbrowskiego. Bo Dąbrowski miał do niedawna w nadrzędnej wobec okręgówki Prokuraturze Regionalnej w Białymstoku życzliwego mu od lat wujka, prokuratora Bazylego Telentejuka. Teraz prokurator Telentejuk jest już w stanie spoczynku, a dupochron ma mu zapewniać Tadeusz Marek, prokurator regionalny.

Ale przecież Żurek też nie pała do Dąbrowskiego specjalnym uczuciem – przypomnijmy sobie cały cyrk w wykonaniu jego podwładnej, prokuratorki Magdaleny Rutyny oskarżającej piątkę z Hajnówki za humanitarną pomoc migrantom na pograniczu polsko-białoruskim. Z czego Prokuratura Krajowa musiała się jakoś wizerunkowo wyplątać, nakazując rejonówce cofnąć niedawno apelację Rutyny, po jej przegranym procesie w tej sprawie, z Sądu Okręgowego w Białymstoku.

Ale tak po prawdzie z tą Hajnówką to nie musi być wcale zły ruch. Większość jej kadry to prawosławni z dziada pradziada, a więc instynktownie uczuleni na hejt i nienawiść na tle narodowościowym oraz innym.

I to przez to urocze, spokojne, pełne zieleni miasteczko szły do niedawna marsze gloryfikujące leśnego „Burego”, którego oddział mordował prawosławnych w 1946 r., za co herszt bandy słusznie dostał czapę od władzy ludowej. Takich rzeczy się łatwo nie zapomina, tym bardziej jak się jest lokalnym prokuratorem czy policjantem.

Problem z tą pięćdziesiątką ministra Żurka leży jednak gdzie indziej. Kiedy zmieni się władza – a Tusk z Czarzastym robią wszystko, żeby Czarnek z Konfą u boku przejęli po nich w 2027 r. kierownicę – prokuratorzy, którzy ścigali ten typ przestępstw, zaczną mieć kłopoty. Oni to świetnie wiedzą, więc będą grali na czas, stosując obstrukcję w postępowaniach, żeby za moment nie popaść u nowych panów w niełaskę. To przecież takie ludzkie i przewidywalne do bólu.

JMP

eprasa.pl 8f0a9fc9f0

Ciumki wiecznie żywe

25-lecie pedofilii w Polsce



Od ćwierć wieku księża molestują dzieci w naszym pięknym kraju. A przynajmniej tyle czasu upłynęło od publikacji tekstu w „Wyborczej" nt. proboszcza z Tylawy. Wiadomo – jak czegoś nie opisano w gazecie Michnika, to to nie istnieje. W 2001 r. klerykalna pedofilia została usankcjonowana przez medium tzw. głównego nurtu. Wcześniejsze materiały tygodnika „NIE" – czytane ukradkiem – uchodziły za owoce zatrutego drzewa i pomijane były w oficjalnym dyskursie, choć oczywiście społeczeństwo wiedziało, co się święci na zakrystiach i plebaniach. Pod strzechy zaś na dobre temat trafił dopiero w 2019 r. po filmie Sekielskich „Tylko nie mów nikomu". Gdy już „powiedzieli w telewizji", to tylko czeredka Tadeusza Rydzyka obstała przy swoim, czyli że problemu nie ma.

Ćwiara

25-lecie medialnego życia pedofilii sług bożych „Tygodnik Powszechny" uczcił rozmową z Lucyną Krawiecką, która ujawniła grzechy proboszcza z Tylawy. Odwaga była w 2001 r. droższa niż w 2026, a złożenie do prokuratury zawiadomienia na księdza było aktem heroicznym i najczęściej skazanym na porażkę. Sytuacji nie polepszał fakt, że Krawiecka jest żoną księdza greckokatolickiego, co już ustawia ją jako osobę mało wiarygodną, z czego skwapliwie korzystał kler rzymskokatolicki. W dodatku jest przechrztą. Grekokatolicy to niby też poddani papieża, ale jednak jakby Ruscy. Ichnich księży nie obowiązuje celibat, a figura „żona księdza" pachnie w Polsce herezją. Podkarpacie początku nowego tysiąclecia było jeszcze bardziej konserwatywne niż dziś, a przecież dziś uchodzi za bastion PiS i Kościoła kat. W takiej więc atmosferze Lucyna Krawiecka poszła na wojnę z ks. Michałem M. i kurią przemyską.

Krawiecka poinformowała zatem prokuraturę, że ks. Michał M. z parafii w Tylawie molestuje dziewczynki. „Koszmar zaczyna się już w zerówce. Ksiądz podczas lekcji religii, na środku klasy, sadza sobie na kolana wybrane dziewczęta i przytrzymując je siłą, całuje, ściska, dotyka w miejscach intymnych. Młodsze, nieświadome tego, co z nimi wyprawia, kusi słodyczami, wobec starszych stosuje różne formy przemocy i szantażu, napastując je w swoim samochodzie czy też strasząc nieudzieleniem rozgrzeszenia, niedopuszczeniem do pierwszej Komunii lub bierzmowania. Pewną dziewczynkę namawiał do nocowania na plebanii, obiecując pomóc materialnie jej rodzicom (wiadomo skądinąd, że nocowały u niego inne dzieci). Nierzadko posługuje się pretekstem, jakoby jego ręce miały moc uzdrawiania" – pisała wówczas „Więź". Emerytowany dziś metropolita przemyski abepe Józef Michalik medialne doniesienia nt. swojego podwładnego nazwał „szarpaniem dobrej opinii naszych księży". Ten sam Michalik, który zasłynął potem wypowiedzią: „Wiele tych molestowań by udało się uniknąć, gdyby te relacje między rodzicami były zdrowe. Słyszymy nieraz, że to często wyzwala się ta niewłaściwa postawa czy nadużycie, kiedy dziecko szuka miłości, ono lgnie, ono szuka. I zagubi się samo, i jeszcze tego drugiego człowieka wciąga". Wybitna wrażliwość na krzywdę czynioną dzieciom.

Prokurator klęka

Zanim Krawiecka zgłosiła księdza organom ścigania, była u tegoż Michalika z prośbą o interwencję. Jak wspomina, było to tuż po jego imieninach, zatem w korytarzu pałacu zebrały się lizusy, by oddać hołd i złożyć życzenia jego ekscelencji. Co znamienne dla sprawy, w poczekalni znalazła się też delegacja z prokuratury, którą zaanonsował arcybiskupowi ksiądz sekretarz. Już w drzwiach padli na kolana, by ucałować biskupi pierścień. Było sympatycznie.

Spotkanie z Lucyną Krawiecką przebiegło w mniej przyjemnej atmosferze. Michalik żądał nazwisk, nie wierzył w opowieść żony księdza, ignorował świadectwa ofiar. Zapowiedział, że nikogo do Tylawy nie wyśle, a jak Krawiecka chce, to niech sobie idzie do prokuratury. „Odpowiedziałam: »Do tej prokuratury, która właśnie przed chwilą klęczała przed biskupem i całowała go w pierścień?«. I wyszłam" – wspomina w jubileuszowej rozmowie z Szymonem Piegzą dla „Tygodnika Powszechnego".

Ostatecznie do prokuratury poszła, a tam, proszę sobie wyobrazić, Stanisław Piotrowicz! Tak, ten Stanisław Piotrowicz z Trybunału Konstytucyjnego. Wprawdzie śledztwa nie prowadził, ale gdy je – cóż za niespodzianka! – umorzono, ochoczo i z przekonaniem dowodził, że było to godne i sprawiedliwe, słuszne i zbawienne. Motywy ukręcenia sprawie łba wyjawił na specjalnej konferencji prasowej, ponieważ – jako się rzekło – była to medialnie prekursorska sprawa, a zatem zainteresowanie nią przekroczyło zapewne wyobrażenia zarówno prokuratury, jak i kleru. Złotousty Piotrowicz, który na każdy temat umie składnie opowiadać, wziął na siebie ciężar zbycia pismaków. Z tej konferencji pochodzi słynna wypowiedź aktualnego sędziego Trybunału Konstytucyjnego, instytucji ostatnio bardzo modnej. Zapytany, dlaczego dzieci nocowały u ks. Michała M., odpowiedział: – Dla dzieci nocowanie w obcym domu jest atrakcją. Kąpiel wynikała zaś z tego, że dzieci były brudne. Całowanie w usta według niego było na zasadzie „daj ciumka" czy „gilgotanie brodą".

Niezmienni

„Ciumki" zostały z Piotrowiczem tak jak „precz z komuną!" skandowane z mównicy wespół z salą sejmową, której opozycyjna wówczas część zarzucała prokuratorowi PRL-owską przeszłość przy jednoczesnym potępianiu poprzedniej Rzeczypospolitej i jej twórców. Lata mijają, a Piotrowicz ciągle na powierzchni. Obrona pedofila mu nie zaszkodziła, a sam ks. Michał M. praktycznie wymigał się od odpowiedzialności. Wprawdzie prokuratura okręgowa uchyliła umorzenie jego sprawy, ale proces ciągnął się sześć lat i zakończył wyrokiem w zawieszeniu za molestowanie sześciu dziewczynek. Watykan poprawił mu bolesnym zakazem publicznego odprawiania mszy.

Ksiądz M. zamieszkał w swojej rodzinnej miejscowości na Podkarpaciu, ale wścibskie pismaki wytropiły, że co tydzień prowadzi różaniec w Radiu Maryja. Rydzyk nie opuszcza swoich, choćby inni się ich wyparli.

Tak było choćby z nieżyjącym bepe Janiakiem, którego nazwał „współczesnym męczennikiem" , bo dziennikarze nagabywali go, dlaczego krył pedofilów w swoich kadrach. Tak go zaszczuli, że pewnego razu trafił do szpitala z podejrzeniem udaru, a okazało się że był po prostu fest najebany – 3,44 promila. Tak właśnie hieny dziennikarskie potrafią zniszczyć człowieka. Dobrze, że istnieją tak lojalni przyjaciele jak Tadeusz Rydzyk.

Patrząc z perspektywy na ostatnie ćwierćwiecze, Lucyna Krawiecka snuje słodko-gorzką refleksję na temat zachodzących w Polsce zmian. „Na lepsze zmieniło się to, że zaczęliśmy głośno rozmawiać o pedofilii księży. Jest coraz więcej wyroków skazujących. Niestety, sam Kościół katolicki się nie zmienia" – puentuje. Niezmienność nauczania jest chlubą Kościoła kat. Sęk w tym, że nauczanie to się właśnie zmienia, ale mentalność kleru nie bardzo.

MATT KOBOSKO

Wojny leońskie

Dwóch potężnych Amerykanów na wojnie o pokój

Polska prawica staje wobec dramatycznego dylematu: popierać Leona XIV czy Donalda Trumpa? Ich wizje świata i geopolityki coraz bardziej się rozjeżdżają, a prezydent USA ma coraz większe ambicje. Chętnie zająłby miejsce nie tylko papieża, ale i samego Jezusa, co coraz bardziej dosłownie sugeruje. Tymczasem papież wydaje się – o zgrozo! – ostoją rozsądku i dyplomacji. Kapitalizm okazał się większym pożeraczem rozumu niż katolicyzm.



Rys. MAURIZIO DI BONA

Robert Prevost, od niemalże roku znany jako Leon XIV, nie lubi wojny – z urzędu. Taka jest kościelna doktryna robiąca wyjątek tylko dla wojny sprawiedliwej, czyli słusznej. Każda jest słuszna w rozumieniu wypowiadającego ją, a i sam Kościół kat. w swej długiej historii ma wiele epizodów wojennych oraz romansów z wojennymi zbrodniarzami. Ale z Trumpem nie chce sztamy.

Mamy o tyle szczególną sytuację, że zarówno następca Waszyngtona jest hamburgerem (to akurat obowiązkowe), ale i następca św. Piotra (co jest nowością). Aspiracje Trumpa są globalne, papieża – też. Przy czym ten ostatni woli dyskretny rząd dusz przekładający się na materialne powodzenie, a przywódca Stanów Zjednoczonych stawia na sukcesy spektakularne i wybuchowe. Donald prowokuje Leona, swojego rodaka na tronie piotrowym, boli go bowiem, że Amerykanin może występować przeciwko swojej ojczyźnie, nawet jeśli sam jest głową innego państwa.

Trump atakuje szefa Kościoła kat. w mediach społecznościowych i w wywiadach, zarzuca mu, że miesza się do polityki, a nie powinien. Niedoszły laureat Pokojowej Nagrody Nobla chyba lepiej wie, co jest dobre dla pokoju, niż jakiś papieżyna. Prezydent USA nie lubi nie mieć racji, a gdy ten brak wytykają mu ludzie pokroju duchowego przywódcy prawie 1,5 mld ludzkości to pachnie mu to (nomen omen) wojną. Zwłaszcza że sam katolikiem nie jest, a w jego protestanckiej wizji świata papież może się jawić niemal jak Antychryst. A gdy atakuje Trumpa, to jest nim niechybnie.

W trakcie ubiegłorocznego konklawe lubujący się we wrzucaniu do sieci dziwnych grafik Trump podzielił się ze światem wygenerowanym przez sztuczną inteligencję obrazem samego siebie jako papieża. Teraz poszedł dalej – wrzucił grafikę, na której wygląda jak Jezus. Pod naporem krytyki usunął obrazek, tłumacząc, że była to stylizacja na lekarza, a nie Jezusa. Kogo jak kogo, ale Jezusa papież powinien słuchać, więc biznesmen Trump chwyta się wszelkich technik negocjacyjnych. W końcu z prezydenta ulała się ściana tekstu, w którym odsądza Leona XIV od czci i wiary, stwierdza, że jest fatalnym papieżem, sprzyja lewakom, nie zna się na polityce i znalazł się tam, gdzie jest, przez przypadek.

„Lubię jego brata Louisa dużo bardziej niż jego, ponieważ Louis jest za MAGA. On to pojmuje, a Leon nie" – w swoim stylu dodaje poważny prezydent poważnego państwa.

Na pokładzie samolotu do Algierii Leon XIV dopytywany o Trumpa odpowiedział: „Nie będę wdawał się z nim w dyskusje. Nie obawiam się administracji Trumpa". Zaś prezydent USA w wywiadzie dla CBS News powiedział, że nie będzie za nic przepraszał. Stwierdził też, że zrobił „więcej dla Kościoła katolickiego niż jakikolwiek inny prezydent w ostatnich stu latach". I obawiamy się, że może mieć rację.

MK

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO



■ ***Jeśli mamy się zachować w swym istnieniu i swym dobrostanie jako naród i państwo, nie możemy sami ciągle sobie szkodzić, nie możemy lekceważyć naszych świętych obowiązków, jakie mamy wobec Pana Boga, bliźnich i nas samych.*** Usunięcie naszej obecnej nędzy życia publicznego wymaga zatem naszej pracy i wierności naszej tożsamości, naszej pobożności, którą przekazali nam nasi ojcowie i której skarb mamy obowiązek przekazywać przyszłym pokoleniom Polaków.

prof. Paweł Skrzydlewski, Radio Maryja, 11 kwietnia

■ ***Psychologia religii mówi, że kryzys wiary religijnej następuje zazwyczaj w wieku między 11 a 14 lat. To jest ważne, bo musimy wiedzieć, co wtedy dzieje się rozwojowo w życiu ludzkim, jakie są konteksty rozwojowe. To jest właśnie okres, kiedy jest największa możliwość, że ktoś odsunie się od Kościoła.*** (…) Więc czy powinniśmy się martwić obecną sytuacją? Myślę, że tak, bo wciąż trwa walka duchowa. (…) ***Obecnie mamy nasilony profesjonalny marketing – dziedzina wiedzy, socjotechniki – dóbr konsumpcyjnych, który zrobił sieczkę z pewnych postaw i zachowań (…). Na świecie są trendy sekularyzacji i laicyzacji.***

dr hab. Krzysztof Wojcieszek, członek Zespołu ds. Apostolstwa Trzeźwości i Osób Uzależnionych przy KEP, Radio Maryja, 6 kwietnia

■ ***Wszak to religia, to ona zawsze była i będzie tą najcenniejszą i najważniejszą siłą przemawiającą do ludzkich sumień i umysłów, ukazującą człowiekowi nie tylko cel i sens jego życia, ale także środki i sposób jego osiągania. To z religii przecież płynie cały zdrój sił autentycznie twórczych, tak dla rodziny, jak i narodu, a także państwa.*** Upadek pobożności, złączony z lekceważeniem praw i darów płynących od Pana Boga, stał się zaczynem rozkładu i niemocy naszej, a także zwykłej głupoty, tak ludzi prostych i niewykształconych, jak i luminarzy społecznych, przewodników duchowych, którzy mniemają sami, że są osobami wykształconymi.

dalej Skrzydlewski

■ Może politycy wychodzą z założenia, że lepiej nie uczyć dzieci zasad moralnych, bo ludzie z moralnymi kręgosłupami są trudniej sterowalni, mają oczekiwania wobec polityków w tym obszarze; chcą, żeby nie kłamali, szanowali innych, nie oszukiwali itp. Ludzie bez norm etycznych mogą być pożądani, gdyż łatwiej nimi manipulować. (…) ***Najlepiej w szkole zamiast etyki i religii zapisywać dzieci do partii, oczywiście zawsze tej jedynej słusznej, i uczyć, jak głosować zgodnie z jej wolą.***

Piotr Janowicz, przewodniczący Stowarzyszenia Katechetów Świeckich, Opoka.org.pl, 7 kwietnia

■ ***Na całym świecie wiele osób porzuca religię, którą wyznawało w dzieciństwie, i jest to proces globalny. Okazuje się, że im więcej edukacji, tym więcej szkód w życiu religijnym.*** (…) Profesor Mieczysław Gogacz usilnie twierdził, że ze względu na ateistyczną strukturę kształcenia, im człowiek dalej posuwa się w tym kształceniu, tym bardziej cierpi jego duchowość i religijność.

dalej Wojcieszek

■ Definicja mówi, że człowiek to istota rozumna i wolna, ale rzeczywistość twarda pokazuje nam, że coraz częściej ludzie są nierozumni i zniewoleni. ***Gdyby ta definicja była precyzyjna, to trzeba by ich wykluczyć z bycia ludźmi, jednak Biblia mówi nam, że człowiek to ktoś kochany – nie zawsze jestem rozumny, nie zawsze wolny, ale zawsze kochany przez Boga. Więc Kościół chroni mnie – przez Chrystusa i Jego Ewangelię – przed redukowaniem siebie do bycia zwierzęciem.***

ks. dr Marek Dziewiecki, Radio Maryja, 5 kwietnia

eprasa.pl 8f0a9fc9f0

Żużlowa miłość

Jeśli ktoś lubi romantyczne historie, niech koniecznie przeczyta ten tekst.

Rozpoczął się sezon żużlowy. Za nami pierwsze sparingi, wiosenne turnieje i wreszcie ruszyły rozgrywki ligowe. Czy na czarnym torze mamy szukać miłosnych romantycznych historii? Emocji na pewno. To typowo męski sport, chyba ostatni, który nie ma kobiecego odpowiednika (kilka dziewczyn spróbowało sił na motorze bez hamulców, ale wywalały się, nim dojechały do mety). Jedynym kobiecym akcentem są piękne i zgrabne dziewczyny podprowadzające zawodników na start.

Bez butów ani rusz

Z podprowadzającymi już nieraz robiła się afera. Osoby walczące o równość płci twierdzą, że rola dziewczyn wychodzących na tor po to, aby wskazać zawodnikom miejsce na starcie, ma w sobie coś z poniżania płci pięknej. One – twierdzą krytycy – występują w roli „paprotek", zbytecznego dodatku do sportowych zawodów. I choć dziewczyny ubrane są skromnie, „na sportowo", o seksualizacji, czyli przekształcaniu ich w przedmiot dla przyjemności męskich spojrzeń, nie może być mowy – co i raz pojawiają się głosy, aby zlikwidować tę funkcję.

W cyklu Grand Prix, czyli w mistrzostwach świata, pogoniono piękne podprowadzające z toru. Zawodnicy sami, bez niczyjej pomocy, wiedzą, gdzie mają się ustawić. W polskiej lidze nikt niczego nie zabrania, a przeciwnie – regulamin nakazuje obecność podprowadzających, w liczbie co najmniej pięciu – cztery wskazujące tory i jedna pokazuje numer gonitwy. Dopuszcza się możliwość dodatkowych, trzymających tablice reklamowe.

Chętnych do objęcia roli podprowadzającej nigdy nie brakuje, przeciwnie – jest nadmiar i przed sezonem w klubach przeprowadzane są castingi.

Co przyciąga dziewczyny? Gdy trwa wyścig, siedzą blisko toru, na środku stadionu. Oglądanie fascynujących zawodów z takiej perspektywy to już wystarczający magnes. Być może nie bez znaczenia jest fakt, że mają się czym pochwalić w swoim środowisku. W końcu – uznano je za wystarczająco piękne, aby reprezentowały klub.

Czy zawodnicy zwracają uwagę na podprowadzające? Przynajmniej powinni. Swego czasu podczas meczu PZŻ Poznań a Wandą Kraków zawodnicy pomylili pola startowe. Dwaj prędko zorientowali się w pomyłce, ale dwaj nie zauważyli błędu i zostali zdyskwalifikowani.

Na marginesie – lubię na marginesie wplatać różne dygresje – pandemia, podczas której zawody odbywały się bez kibiców, mocno trzepnęła kluby po kieszeni. Musiano ciąć koszty, gdzie się tylko dało. W jednym z klubów podprowadzające zagroziły strajkiem. Przed sezonem nie kupiono dla nich obuwia, które na żużlowej nawierzchni prędko się niszczy. W myśl regulaminu polskiej ligi zawody bez pięknych dziewczyn trzymających na starcie kolorowe tablice nie mogą się odbyć – klubowi działacze musieli więc szukać oszczędności gdzie indziej, a podprowadzające wyszły na tor w nowych butach.

Piorun ostrowski

Ktoś może przypuszczać, że zacząłem tekst zdaniem o romantycznej historii miłosnej tylko po to, by zwabić Czytelników do jego przeczytania. Na razie bowiem niczego romantycznego tutaj nie znaleźliśmy. Ale uwaga! Właśnie zbliżamy się do właściwego momentu. Zdania o pięknych podprowadzających miały tylko wprowadzić nastrój, żadnej miłosnej historii rzeczywiście tu nie było.

Duński żużlowiec Patrick Hansen zakończył karierę. Możemy go teraz oglądać w roli komentatora zawodów w Canal+ albo podejrzeć w boksach technicznych, gdzie pomaga zawodnikom klubu ROW Rybnik. W klasycznym romansie uczucie rodzi się podczas balu debiutantek lub w operze – ale przecież nie na stadionie żużlowym. A tam właśnie zaczęła się miłość Martyny Skiby (dziś już – uprzedźmy fakty – Martyny Hansen) i Patricka Hansena. Dalszy ciąg miała – znów wbrew klasycznym romantycznym historiom – w internecie.

Oboje przyszli na stadion w Ostrowie Wielkopolskim na finałowy mecz I ligi Ostrów – ROW Rybnik w 2019 r. Ona go nie zauważyła, a on od pewnego momentu przestał przyglądać się swoim kolegom rajderom i patrzył tylko na dziewczynę. Jak później przyznał, już wiedział, że to jest jego wielka i jedyna miłość.

Patrick wypatrzył profil Martyny na Instagramie, ona zauważyła nowego obserwującego – i tak to się zaczęło. Prędko stali się parą, choć nie było to łatwe. Martyna studiowała, Patrick miał opinię jednego z najzdolniejszych młodych duńskich rajderów (czterokrotny medalista mistrzostw świata juniorów), sportowa przyszłość była przed nim, musiał większość czasu poświęcać na treningi i wyjazdy na zawody. Jakoś dawali sobie z tym radę – aż przyszła pandemia. Paskudny koronawirus zagnał wszystkich do domów. Zagraniczni sportowcy najczęściej wracali do siebie, do rodzin. Patrick został w Polsce z Martyną. Martyna studiowała on-line i też siedziała w domu.

Duńska godka

Duńczyk nie miał lekkiego życia. Partnerka zagoniła go do nauki języka polskiego. To zadanie bardziej karkołomne niż wyprzedzanie rywala po zewnętrznej na ostatnim łuku toru. Ale i tak Patrick nie mógł jeździć ani trenować. Codziennie dostawał porcję polskich słówek do zapamiętania, a złożona gramatyka była tylko przy okazji.

Podstawy polskiego Patrick już zresztą miał, podobnie jak każdy zagraniczny rajder ścigający się w naszym kraju. Tak się składa, że w Polsce jeżdżą wszyscy najlepsi. Tu najwięcej się zarabia, kluby najprężniej działają, stadiony najczęściej bywają zapełnione.

Mechanicy to zazwyczaj Polacy. Oczywiście język żużlowy, podobnie jak piłkarski czy siatkarski, jest uniwersalny, ale Patrick chciał wiedzieć, co ci ludzie mówią między sobą. To była dodatkowa motywacja, bo z Martyną początkowo porozumiewał się mieszanką polsko-angielsko-śląską.

Jak przyznała później Skiba, do nauki języka polskiego jej partner podchodził jak do treningu: cierpliwie i z uporem. Dzięki temu opanował naszą mowę na tyle dobrze, że teraz może występować w roli telewizyjnego komentatora żużlowych zawodów. Na speedwayu zna się – co zrozumiałe – świetnie, a jego język jest nie tylko zrozumiały, ale także na swój sposób uroczy, dzięki cudzoziemskiemu akcentowi oraz brakowi odmiany przez przypadki niektórych rzeczowników.



Co ciekawe – okazuje się, że Patrick opanował nie tylko literacki polski, lecz także godkę śląską, wszak Martyna jest Rybniczanką. Twierdzi nawet, że z językiem śląskim było mu łatwiej, bo bardziej przypomina słownictwem i gramatyką jego rodzinny duński.

Patrick zmieniał kluby pierwszoligowe, trafił nawet do Ekstraligi, do klubu Stal Gorzów. W związku z tym Martyna musiała zmieniać miejsca zamieszkania. Taki los partnerek i żon sportowców, nie tylko w speedwayu.

Dopóki żużlowiec nie został jej ukochanym, dopóty lubiła ten sport, chętnie oglądała zawody. Później się to zmieniło. Widziała wypadki na trasie, zdawała sobie sprawę, jak niebezpieczna to zabawa i nie była zachwycona, że Patrick bierze w niej udział. Wiedziała jednak, że ten sport jest jego pasją, gdy tylko mogła przyjeżdżała na stadion, cieszyła się jego sukcesami, martwiły ją porażki. Strach o bliską osobę jest uczuciem – twierdzi Martyna – do którego nie można się przyzwyczaić ani się go pozbyć.

Ale co zrobić, gdy w chwili, kiedy Patrick wkładał na głowę kask, przenosił się do własnego, zamkniętego świata? Czy ktoś miał prawo mu go odbierać?

Katastrofa

Nie można sobie wyobrazić typowej romantycznej historii bez dramatycznego wydarzenia. Film „Znachor" telewizja pokazuje często, zwłaszcza w okolicach świąt, więc ławo się o tym przekonać.

W historii Martyny i Patricka fatalne zdarzenie miało miejsce 26 sierpnia 2023 r. Na tym samym stadionie, na którym Patrick po raz pierwszy zobaczył Martynę, podczas meczu Ostrów Wlkp. – ROW Rybnik, Hansen zderzył się z klubowym kolegą Patrykiem Wojdyłą, uderzył w nadmuchiwaną bandę i nie wstawał z toru. Karetka odwiozła go do szpitala.

Diagnoza była straszna. Wielokrotne złamanie kości prawej nogi było w niej najmniej groźne. Niemal każdy żużlowiec był połamany w różnych miejscach, dla nich to nic nowego, a kości się zrastają. Najgorsze okazało się uszkodzenie kręgosłupa. Patrickowi Hansenowi groził paraliż.

Udaną operację przeprowadzono w Kaliszu. Udaną, bo po kilku dniach mógł już ruszyć dużym palcem u nogi, co oznaczało, iż rdzeń kręgowy nie został całkiem przerwany. Oczywiście do pacjenta przyjechali rodzice, ale – dosłownie – ani na moment nie odchodziła od jego łóżka Martyna. Nie spała 40 godzin, zanim dowiedziała się, że operacja przebiegła pomyślnie.

Martyna musiała opiekować się Patrickiem jak niemowlakiem. Karmić go, zmieniać mu pieluszki, a gdy zaczął raczkować, pilnować, żeby nie zrobił sobie krzywdy. Później nastąpił długi i żmudny okres rehabilitacji. Patrick podszedł do niego jak do nauki języka polskiego: cierpliwie i z uporem. Martynie nie bardzo podobało się, że jej chłopak widzi na mecie tych żmudnych ćwiczeń powrót na tor żużlowy. Stale powtarzał, że jeśli będzie mógł chodzić, to będzie także mógł jeździć na motocyklu. Nie próbowała mu jednak wybijać tego z głowy. Przeciwnie – pomagała we wszystkim. Chodziła na ćwiczenia, czekała, aż się skończą, woziła go i odwoziła (nie mógł prowadzić samochodu, a co dopiero mówić o motocyklu).

Gdy Patrick siusiał jeszcze w pieluchę, ale już jako tako trzymał się na nogach, postanowił stanąć przed komisją lekarską, która zezwoli mu na wznowienie żużlowych treningów. Oczywiście stosownego papierka nie otrzymał. Para nadal była ze sobą. W Polsce nikt Patricka nie wpuściłby na żużlowy tor bez świadectwa lekarskiego, ale w Czechach stosowne zaświadczenie nie było nieodzowne. Martyna woziła go więc do Czech.

Specjalizujący się w pokazywaniu żużla Canal+ wyemitował film, w którym przedstawiono jak wyglądał pierwszy wyjazd Patricka Hansena na żużlowy tor po groźnej kontuzji. Chyba jasne było, że już nigdy nie osiągnie mistrzowskiej formy. Wsadzano go na motor, przejechał kilka kółek, zjeżdżał do boksu, gdzie cała ekipa, włącznie z Martyną, stawiała go na nogi. Na koniec kuśtykał do samochodu.

Patrick nie poddawał się. Ćwiczył, trenował, w końcu nie tylko uzyskał stosowne papiery, ale znalazł pracodawcę w postaci klubu Orzeł Łódź. Długo miejsca tam nie zagrzał. W końcu sam zrozumiał, że już nigdy nie będzie w pełni sprawny. Przegrywał wyścig za wyścigiem. Oficjalnie zakończył sportową karierę.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Happy end

Powrócił do swojego pierwszego zawodu – jest mechanikiem samochodowym i pracuje w tym charakterze w Rybniku. Możecie bez obaw oddawać mu swój samochód. Każdy żużlowiec musi być doskonałym mechanikiem, inaczej nie utrzymałby się na topie. Z żużlem całkiem nie zerwał, trenuje rybnicką młodzież oraz – o czym już wspomniałem – komentuje czasem zawody w telewizji Canal+.

Każda romantyczna historia miłosna powinna mieć dobre zakończenie. W przeciwnym wypadku Czytelnicy czy widzowie nie wybaczyliby twórcom. Tu akurat scenariusz pisało życie, ale i ono trzymało się ustalonych ram gatunku.

W grudniu 2022 r. podczas wakacji na Dominikanie Patrick oficjalnie poprosił o rękę Martyny i jak nietrudno się domyślić, zaręczyny zostały przyjęte. Skoro tak – odbył się ślub. Tu doszło do małego spięcia, bo Duńczyk chciał, aby ceremonia odbyła się w żużlowym klubie, Martyna nie chciała o tym słyszeć, bo speedway to jedno, a życie to drugie. Chyba miała dość tego sportu.

Niedawno para poinformowała, że spodziewa się dziecka, zewsząd posypały się gratulacje, a my mamy ten wymarzony happy end.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 15.04.2026 r.

eprasa.pl 8f0a9fc9f0

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Cenckiewicz, szef prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego, ciężko opadł na fotel. Przymknął oczy i pokazał zęby w grymasie przypominającym uśmiech.

Na sąsiednim fotelu siedział Nawrocki, szef Cenckiewicza. Oczy miał przymknięte od dłuższego czasu. Oraz spowolniony oddech.

– Wzią-łeś coś? – zapytał Nawrocki tak powoli, jak powoli zwykł wyciskać kwintal na ławeczce.

Cenckiewicz kiwnął głową, czego jednak Nawrocki nie zauważył, gdyż nadal miał przymknięte oczy.

– Co? – spytał intuicyjnie.

– As-pi-rynę – skłamał Cenckiewicz tonem jeszcze wolniejszym. – A ty? Wzią-łeś snu-sa?

Nawrocki potwierdził skinieniem.

– Co w nim by-ło?

– Ni-ko-ty-na.

Obaj wiedzieli, co wzięli i że na pewno nie była to ani aspiryna, ani nikotyna, lecz w tej chwili nie było to ważne. Liczyło się tylko to, co mieli pod powiekami: feeria kolorów, bogactwo odcieni, szaleństwo błysków. A w uszach muzyka najpiękniejsza z pięknych.

– Ale zje-ba-łeś z tym Or-bá-nem – zepsuł nastrój Cenckiewicz.

– A ty nie masz dos-tępu do in-for-ma-cji nie-jaw-nych – odgryzł się Nawrocki.

– Już mam… A ty zjebałeś nie tylko z Orbánem, ale również z Trum-pem, który obraził papieża – powiedział Cenckiewicz i sam ze zdumieniem spostrzegł, że już nie przeciąga samogłosek, a wybuchy barw zniknęły spod jego powiek.

Nawrocki też się ożywił.

– Ja ciebie mogę zwolnić, a ty mnie nie – oświadczył w prawie normalnym tempie.

– Ja wiem o tobie takie rzeczy, że gdybym ujawnił dwie z nich, to musiałbyś spierdalać na Węgry.

– Na Węgry? – zdziwił się Nawrocki.

– Nie na Węgry – poprawił się Cenckiewicz. – Ale musiałbyś spierdalać.

W odpowiedzi Nawrocki włożył sobie pod górną wargę woreczek.

W odpowiedzi na tę odpowiedź Cenckiewicz połknął dwie tabletki.

A potem któryś z nich włączył telewizor. W TV Republika już trzeci dzień trwała bezpośrednia relacja z wielkiego zwycięstwa Orbána.

Ale oni obaj już tego nie widzieli. Ich jaźnie błyskawicznie pokonywały tysiące kilometrów. Po to, żeby zobaczyć drugą stronę Księżyca. Mimo że ciemną, to żywili nadzieję, że skąpaną w cudownych kolorach i otuloną jeszcze cudowniejszą muzyką.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA kibicuje Wielkiemu Białemu Ojcu z Watykanu. **JOANNA SENYSZYN** nieco się jej dziwi.

Wołk-Łaniewska: – Niech żyje łupież! Niech żyje łupież!

Senyszyn: – Słucham?!

– A nie, przepraszam, chciałam zawołać „niech żyje papież”, ale przyzwyczajenie okazało się silniejsze…

– Rozumiem, że nawiązujesz do dowcipu Karola Wojtyły… Ale czemu w ogóle wznosisz takie okrzyki?

– Bo kocham Boba z Chicago.

– Coś niepokojąco życzliwa się stajesz papizmowi. Jorge z Buenos Aires, jak pamiętam, też budził twoje ciepłe uczucia.

– To prawda, nawet bardziej, bo Franciszek nie znosił USA tak samo jak ja. Leon XIV ma ciągle amerykański paszport, więc nie jest prawdziwym wrogiem Stanów Zjednoczonych, ale nie powstrzymuje go to przed napieprzaniem w Trumpa, co robi z absolutnym wdziękiem.

– Masz na myśli wystąpienie na temat „złudzenia wszechmocy, które staje się coraz bardziej nieprzewidywalne i agresywne”?

– Tak i jeszcze wezwanie: „Dość bałwochwalstwa wobec samego siebie i pieniędzy! Dość tego popisywania się władzą!”. A wszystko zaczęło się od tego, że Elbridge Colby – zastępca szalonego alkoholika na stanowisku szefa tzw. Departamentu Wojny – wezwał nuncjusza papieskiego kard. Christophe'a Pierre'a i powiedział mu, że „Ameryka ma dość siły militarnej, żeby robić w świecie, co chce”, więc Kościół kat. niech lepiej jej nie podskakuje… I jeszcze podobno ktoś coś wspominał o papiestwie awiniońskim – kiedy w XIV wieku Filip IV Piękny kazał zamordować papieża Benedykta XI i porwał ten cały cyrk do Francji…

– Osobiście wątpię, żeby w departamencie Hegsetha był ktokolwiek wyposażony w taką wiedzę historyczną.

– Hegseth ma dziary ku czci krucjat: „Deus Vult” na prawym bicepsie i krzyż jerozolimski na piersi – więc może o Awinionie przeczytał w Wikipedii, jak szukał obrazków… W każdym razie ciąg dalszy tej historii jest taki, że papież powiedział Trumpowi, że się go nie boi i żeby się wypałował o diffenbachię, i do tego jeszcze odwołał pielgrzymkę do USA. Leo rulez.

– A Trump w odpowiedzi wydał z siebie bardzo długi post, w którym ogłosił, że Prevost został papieżem tylko dzięki niemu oraz jest „miękki dla przestępców i fatalny w polityce międzynarodowej”…

– Z dużą radością odnotowuję, że w tym tygodniu „New York Times” opublikował długi tekst pod równie długim tytułem: „Nieobliczalne zachowania i ekstremistyczne komentarze Trumpa rozpalają debatę na temat jego zdrowia psychicznego”…

– Lepiej późno niż wcale… Ale skąd twoja satysfakcja?

– A bo ja o tym pisałam już w styczniu, kiedy Przywódca Wolnego Świata wygłosił stek bredni w Davos, konsekwentnie myląc Grenlandię z Islandią. To się nazywa otępienie czołowo-skroniowe, FTD, jest efektem nieodwracalnych zmian zanikowych w płacie czołowym i skroniowym mózgu. Wiąże się między innymi z parafazją fonemiczną, czyli zniekształceniem wyrazów przez zamianę głosek i sylab przy zachowaniu brzmienia zbliżonego do właściwego, a także z rozhamowaniem, czyli utratą samokontroli…

– To ostatnie objawiło się szczególnie w wykreowanym przez sztuczną inteligencję obrazku, który Trump powiesił w social mediach. Występuje na nim w charakterze Jezusa uzdrawiającego chorego. To mi przypomina stary dowcip, jak Jezus, żeby zgłębić tajemnicę zapaści ochrony zdrowia w Polsce, przyjmował pacjentów na NFZ. Do pacjenta na wózku inwalidzkim powiedział: „Synu, wstań i idź”. Pacjent powstał w wózka i wyszedł z gabinetu – a na korytarzu, zapytany, jak nowy doktor, tylko machnął ręką: „Beznadziejny, nawet mi ciśnienia nie zmierzył”.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Skojarzenie jak najbardziej à propos, zwłaszcza że Trump, przyciśnięty przez integrystów z jego fanbazy MAGA, którzy poczuli się cokolwiek obrażeni w swoich uczuciach religijnych, ogłosił, że na obrazku w białej szacie z czerwoną szarfą wcale nie udawał Jezusa: „To byłem ja jako doktor i to miało związek z Czerwonym Krzyżem i jego pracą, którą wspieramy”…

– Jeszcze starszy dowcip mi się przypomniał: o Jurandzie ze Spychowa, któremu Krzyżacy wydłubali oczy i obcięli język. „Gdzie ci to zrobili?” – zapytał Zbyszko z Bogdańca. Jurand wykonał znak krzyża. „Na PCK?!”…

– Do Jezusotrumpa piękny komentarz wygłosił mój ulubiony Jon Stewart z „The Daily Show”: że moc sztucznej inteligencji jest ograniczona. Może dać Trumpowi ręce, które leczą, otoczyć go aniołami i upodobnić do Jezusa – ale ważyć będzie tyle, ile waży…

– To prawda: Trump jest na tym świętym obrazku gruby jak w naturze.

– Co mnie przywodzi do Aleksandra Kwaśniewskiego…

– Krętymi drogami błądzą twoje myśli, bo Kwaśniewski gruby nie jest.

– Właśnie o to chodzi. Prezio wygląda teraz jak milion dolarów: odchudzony, opalony, z wypielęgnowaną brodą i siwą grzywą. I z tej pozycji, w każdej rozmowie, przypieprza się do Orbána, że wyborcy wybierali go szczupłego, a teraz jest gruby… Panie prezydencie, to nie wypada. Każdy raz jest chudszy, raz grubszy i pan to akurat doskonale wie. Nieładnie.

– Widzę, że idziesz w ślady Kaczyńskiego i jakieś fake newsy rozpowszechniasz. Nie słyszałam, a tym bardziej sobie nie wyobrażam, żeby Kwaśniewski zarzucał Orbánowi akurat tuszę, a nie antyeuropejskość, prorosyjskość, niszczenie demokracji, mediów i węgierskiego społeczeństwa czy ukrywanie Romanowskiego i Ziobry…

– No to nieuważnie słuchałaś. W poniedziałek Kwach był w Tefałenie dwa razy, rano gdzieś go dopadli na ulicy, a wieczorem u Olejnik, i oba razy powtórzył to samo. Czekaj, wynotowałam sobie: „Węgrzy powiedzieli, że mają go dosyć. Że wybierali 16 lat temu młodego, szczupłego, energicznego, pełnego wizji polityka, a dzisiaj mają przed sobą starszego, otyłego i skorumpowanego polityka, którego już po prostu nie chcą”…

– No widzisz: inne grzechy też mu wypomniał, nie tylko kilogramy.

– Ale kilogramów nie powinien! To jest *fat shaming*! Nie uchodzi!

– Coś ty się taka wrażliwa na poprawność polityczną zrobiła? Mnie bardziej obchodzi, czy Ziobro z Romanowskim ucieknią do Trumpa, jak rodzina Orbána – czy może nasze służby wreszcie się wykażą i ich złapią.

– A ja – żeby zacytować Urbana – mam to w dupie. Tak Łysy skomentował awanturę o to, czy gen. Jaruzelski ma leżeć w Alei Zasłużonych.

– Chyba nie porównujesz Ziobry do Jaruzelskiego?

– W życiu! Porównuję zagadnienie. Jaruzelski był wielkim człowiekiem, niezależnie od tego, gdzie by go prawackie państwo położyło. A Ziobro jest szmondakiem i aferzystą, odpowiedzialnym za zdefraudowanie funduszu, który miał pomagać – co dla mnie szczególnie ważne – ludziom, którzy wychodzą z więzienia i często nie mają dokąd pójść. To gnojek, a odkąd wydylował na Węgry, wiedzą to także wyborcy PiS. I to się liczy. A czy pójdzie siedzieć, czy nie, to w zasadzie mi zwisa.

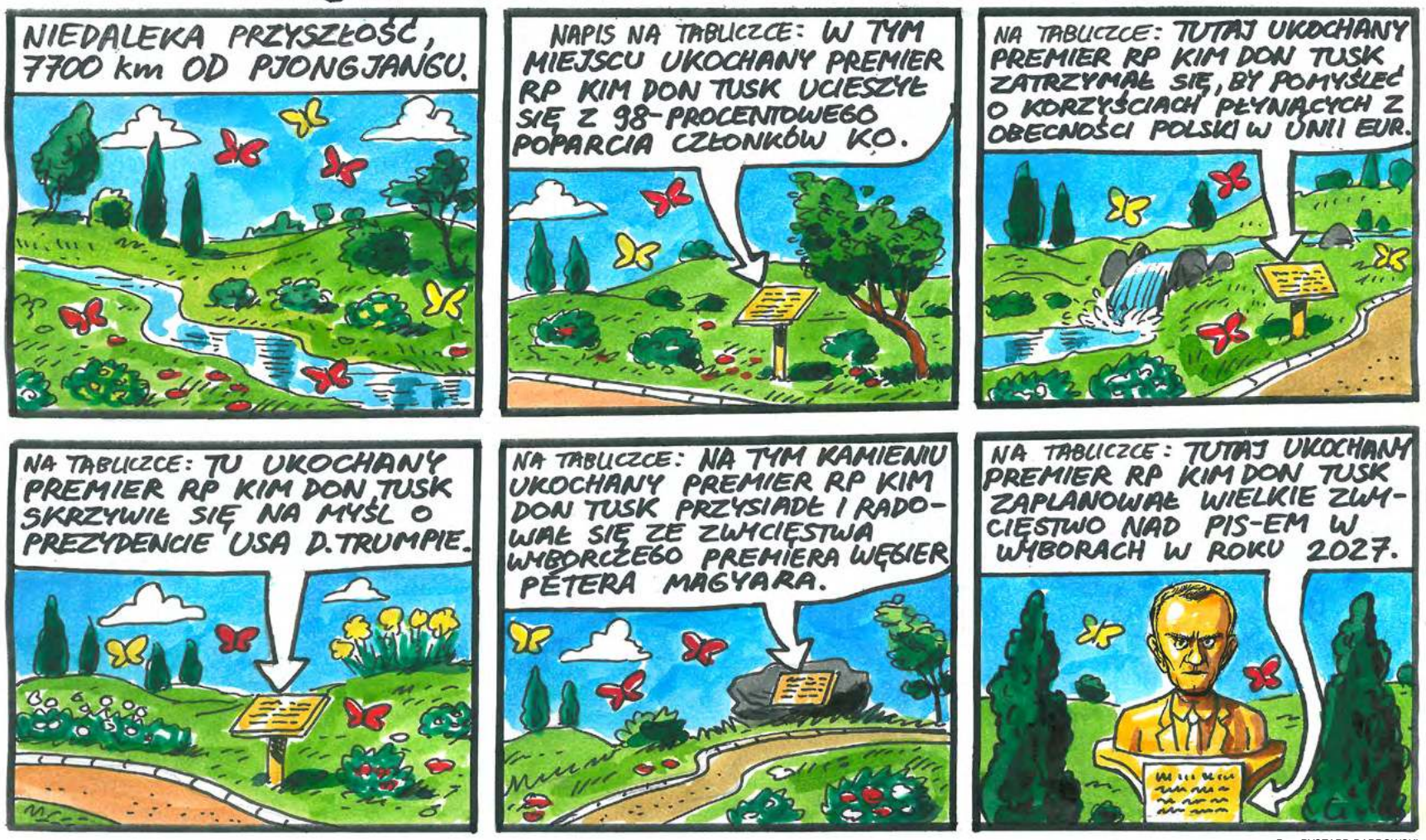
– I na koniec, z dobrych wiadomości: pamiętasz, jak Tusk ogłaszał, że jesteśmy 20. gospodarką świata i jechaliśmy na szczyt G20?

– Trudno nie pamiętać, nasz wspaniały przywódca nie mówił o niczym innym.

– Otóż byliśmy tą 20. gospodarką tylko trochę dłużej niż Trzaskowski prezydentem Polski. Już nie jesteśmy. Wracamy do trzeciej dziesiątki.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 8f0a9fc9f0